

Kasznica, Stanisław

Autobiografia

Analecta 4/1(7), 185-250

1995

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



AUTOBIOGRAFIA

do druku przygotowała oraz wstępem opatrzyła

Eleonora Kasznica

Wstęp

Autobiografia mego Ojca prof. Stanisława Kasznicy* była pisana z myślą o przekazaniu dzieciom i wnukom informacji o rodzinie i o swoim ciekawym życiu w służbie Ojczyzny.

Wspomnienia opierał na zachowanych dokumentach i pamiętnikach prowadzonych od bardzo wczesnych lat młodzieńczych (od 1890 r.). Początkowo zapiski w brulionach prowadzone były nieregularnie, obejmowały głównie refleksje i przemyślenia, w dojrzałym wieku natomiast były pisane regularnie. W zeszytach tych można znaleźć obok analiz sytuacji politycznych, fakty dotyczące pracy, spraw rodzinnych, rachunki i nawet opisy pogody. Wiele tych zeszytów zaginęło w zawierusze wojennej, część zachowała się. Byliśmy dwa razy wyrzucani z domu tylko z małymi walizeczkami w rękę, trzeba więc było niektóre zeszyty z notatkami chować w skrytkach. Różny był los tych schowanych pamiętników, niektóre wpadły w niepowołane ręce i zostały zniszczone, kilka zeszytów zostało w skrytce w mieszkaniu w Warszawie, które częściowo zburzone przez pocisk artyleryjski zostało w zimie 1944/45 zasypane śniegiem i skrytka zamokła. Po wojnie wyjęliśmy zeszyty zawilgocone i bardzo zniszczone. Część zeszytów i dokumenty wynosiliśmy w walizeczkach zamiast jakiejś części ubrania. Dzięki temu dokumenty i fragmenty pamiętników uratowały się. Stanowiły one dla Ojca ważną podstawę do szeregowania wspomnień i wsparcie dla pamięci.

Żył mój ojciec w niesłychanie ciekawych czasach, brzemiennej w wielkie wydarzenia. Urodził się w 1874 r., a więc żył w ostatnim ćwierćwieczu wieku dziewiętnastego, a dożył do końca połowy dwudziestego wieku. Uczestniczył czynnie w przełomie dwóch epok, dwóch światów – ginął świat ziemianstwa, ginęła epoka zaborów wśród walki niepodległościowej, w której brał czynny udział. Zaczęło się organizowanie młodego państwa polskiego. Rozpoczęła się praca nad polską administracją, samorządem, – rozpoczęło się organizowanie Wyższych Uczelni. Wiele wysiłku skierowane było na kształtowanie umysłów i charakterów dla odpowiedzialnej służby dla Ojczyzny.

Notatki czekały aż do końca 1947 roku, gdy Ojciec został przeniesiony przymusowo ze względów politycznych na emeryturę. Przeniósł się wówczas z Poznania do swego domu w Krosinku koło Mosiny, na skraju pięknego Parku Narodowego i tam postanowił napisać wspomnienia ze swego bogatego życia, wypełnionego pracą naukowo-dydaktyczną i publicznymi obowiązkami. Krosinko było cichym azylem, mimo trudności materialnych, miał dobre warunki pracy. Matka moja otaczała Go troskliwą opieką, a ponieważ miał poważne kłopoty z oczami, sekretarzowała Mu. Pamiętniki pisane były częściowo ręcznie, a częściowo dyktowane były na maszynę mojej Mamie. Powstała praca kilkudziesięciu stronnicowa. Z większej całości napisał skróconą wersję autobiografii, którą bez zmian i w oryginale przekazałam Polskiej Akademii Nauk – wydawnictwu „Analecta” w Instytucie Historii Nauki PAN. Jednocześnie wszystkie zeszyty zawierające pamiętniki, oraz zachowane dokumenty obejmujące papiery osobiste, świadectwa toku studiów, kariery urzędniczej, dokumenty Uniwersyteckie i parlamentarne itd. ofiarowałam Archiwum PAN. Zbiór ten otrzymał w Księdze Nabytków numer 2111.

Autobiografię Autora uzupełniam krótką charakterystyką jego osobowości, wyjaśniającą tak bogatą historię jego życia.

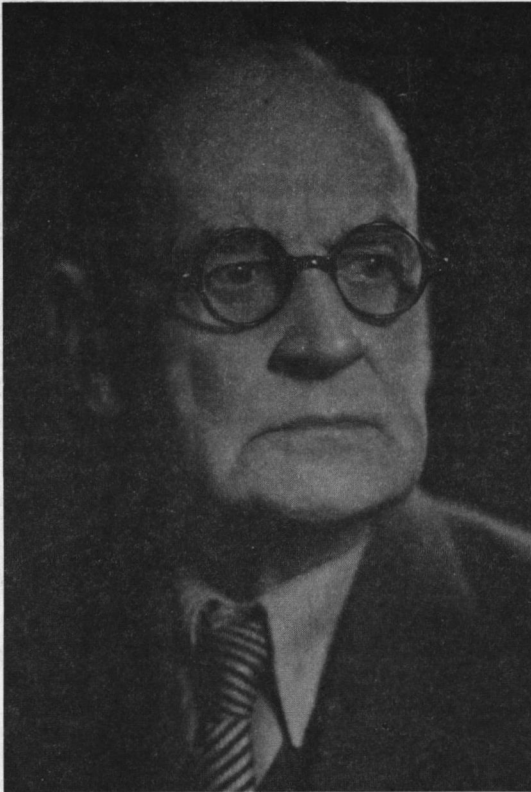
Ojciec odznaczał się dyscypliną wewnętrzną, konsekwencją i porządkiem w życiu codziennym. Był człowiekiem wątłym, anemicznym i tym słabościom nie poddawał się. Do końca życia regularnie rano wstawał, gimnastykował się, nacieirał się zimną wodą i zasiadał do pracy. Taką metodę utrzymywania się w kondycji stosował od młodości, aż do ostatniej choroby obłożonej zakończoną śmiercią.

O jednej godzinie zasiadał do pracy. Nigdy nie był beczny. Gdy usunięto Go na emeryturę od razu rozpoczął pracę nad odtworzeniem rozprawy socjologiczno-prawniczej *O władzy*, rozpoczął pisanie pamiętników, a także tłumaczył Summę św. Tomasza. Tłumaczenie to podjął na zlecenie OO Dominikanów w celach zarobkowych, miał bowiem emeryturę „karną” niższą od najniższych w tym czasie emerytur. Pracował kilka godzin rannych, szedł na spacer przed obiadem. Pamiętam Ojca jak szedł wpatrzony w otaczający Go krajobraz i w tym czasie, jak mówił, układał następne fragmenty rozpoczętych i planowanych prac. Po obiedzie kładł się na godzinę, a potem do kolacji pisał. Ten rytm pracy był zakłócany albo wizytami gości, zawsze mile widzianymi, albo chorobami.

Często mówił ze śmiechem, że cieszy się, iż skleroza jedynie zaatakowała jego nogi (ból silny na skutek zwężenia naczyń) a głowę oszczędziła. Dowodem na to, jak jasny miał umysł i młode usposobienie jest fakt, że gdy został w 1956 reaktywowany na katedrę UP (w 82-gim roku życia) brał czynny udział w dyskusjach nad sprawami sądownictwa, odtworzeniem NIK'u i innymi tematami seminarnymi.

Wielu ludzi szukało kontaktu z Nim, mimo oddalenia Krosinka od Poznania (21 km) i od najbliższej stacji kolejowej (4,5 km). Przyjeżdżali koledzy, przyjaciele

i młodzi ludzie aby wymienić poglądy, umocnić postawy, wchłonąć specyficzną atmosferę domu, którą oboje rodzice tworzyli.



*STANISŁAW KASZNICA
(1874–1958)

Stanisław Kasznica urodził się w dniu 23 II 1874 r. w Warszawie, jako syn Józefa, profesora Szkoły Głównej (późniejszy Cesarski Uniwersytet Warszawski) i Izabelli z Trębickich.

Tamże rozpoczął w 1895 r. studia prawnicze, przerwane aresztowaniem za udział w pracy niepodległościowej w 1898 r. Więziony na Pawiaku i w X Pawilonie Cytadeli został po dwóch miesiącach zwolniony – za wysoką kaucją, a następnie internowany w Warszawie; studia mógł kontynuować dopiero po dwóch latach. Kończy je w 1901 r., a w rok później uzyskuje stopień kandydata nauk na podstawie pracy *Teoria państwa Stanisława Orzechowskiego*. Jako politycznie nieprawomyślny, mając obywatelstwo austriackie, wraca do Krakowa, podejmuje tam studia prawnicze zakończone doktoratem (1904).

Uczestniczy także w życiu społecznym i politycznym (Związek Młodzieży Polskiej – „Zet”, tajna Liga Narodowa). W 1904 r. podejmuje pracę w Namiestnictwie we Lwowie; przerywa ją w 1905 r. by – jako stypendysta Akademii Umiejętności – udać się do Heidelbergu na seminarium prof. J. Jellinka. Zgłasza tam pracę o ustawodawstwie normującym położenie mniejszości narodowych.

W 1907 r. obejmuje kierownictwo Krajowego Biura Statystycznego we Lwowie. Kontynuuje pracę polityczną (w grupie „Rzeczypospolitej”), zakłada też Klub Dyskusyjny, który miał skupiać lwowską elitę urzędniczą i krzewić myślenie patriotyczne.

W latach 1912–1919 jest profesorem nauk społecznych w Krajowej Akademii Rolniczej w Dublanach pod Lwowem. Przewodniczy dublańskiemu kołu Towarzystwa Szkoły Ludowej, zostaje także wybrany posłem do Sejmu Krajowego i powołany do jego Prezydium jako sekretarz. Pracuje tutaj m.in. nad zmianą statutu krajowego i ordynacji wyborczej w tym kierunku, by zapewnić ludności ukraińskiej silniejszą reprezentację w Sejmie.

Z tych czasów lwowskich pochodzi szereg publikacji naukowych St. Kasznicy, m.in.: *Zasada proporcjonalności w prawie wyborczym*, *Struktura narodowościowa ciała sędziowskiego w Galicji*, *Materiały do reformy prawa wyborczego do sejmów galicyjskich*.

Po wybuchu wojny podejmuje ochotniczo zarząd ogromnego majątku szkoły. Bierze ponadto żywy udział w pracach Komitetu Pomocy Ofiarom Wojny, który pełnił równocześnie rolę reprezentanta społeczeństwa polskiego wobec rosyjskich wojsk okupacyjnych. Po wycofaniu się tych wojsk (po bitwie pod Gorlicami) St. Kasznica zostaje aresztowany przez władze austriackie pod zarzutem zdrady stanu. Po ciężkich przesłuchaniach zostaje niespodziewanie zwolniony na skutek interwencji u cesarza wpływowych osobistości polskich.

W maju 1918 r. bierze udział w zebraniu Polskiego Koła Parlamentarnego w Krakowie, na którym proklamowano zjednoczenie i niepodległość Polski, a następnie jako członek delegacji polskiej przed przewodnictwem W. Witosa – w Zjeździe Narodów Uciśnionych w Pradze czeskiej.

W końcu tego roku kieruje obroną Dublan przed Ukraińcami, za co później zostaje odznaczony Krzyżem Walecznych.

Podzyskaniu niepodległości obejmuje, na propozycję ministra spraw wewnętrznych S. Wojciechowskiego, stanowisko szefa sekcji administracyjnej (t.j. dyrektora departamentu) w tym ministerstwie. Dorobkiem kilkumiesięcznej pracy na tym stanowisku jest przygotowanie kilku projektów ustaw, w tym inkorporacji byłej dzielnicy pruskiej oraz o organizacji władz administracji ogólnej II instancji (województw). W związku z tą ustawą przeprowadzono także reorganizację władz administracji ogólnej I instancji i weryfikację starostów, zmierzającą do obsadzenia tych stanowisk przez osoby o odpowiednich kwalifikacjach.

Pracę tę przerywa powołanie St. Kasznicy w dniu 1 I 1920 r. do organizującego się Wydziału Prawno-Ekonomicznego Uniwersytetu Poznańskiego, jako profesora zwyczajnego katedry nauki administracji i prawa administracyjnego. Jest kilkakrotnie dziekanem, również prodziekanem tego Wydziału, a w latach 1929/30 i 1930/31 rektorem Uniwersytetu, wykazując wiele talentu organizacyjnego.

Intensywnej pracy uniwersyteckiej profesora Kasznicy towarzyszy również intensywna praca społeczna i parlamentarna. Jest senatorem z listy państwowej bloku narodowego – (1922–1927), pełni szereg funkcji ogólnopaństwowych, m.in. jest członkiem Rady Oszczędnościowej (od 1924 r.) i sędzią Trybunału Kompetencyjnego (1935–1939), uczestniczy w rozmaitych ważnych dla tworzącej się państwowości polskiej przedsięwzięciach – jako rzeczoznawca w sprawie „statutu autonomicznego” dla Małopolski wschodniej, przewodniczący komisji powołanej do opracowania projektu nowego statutu autonomicznego dla Śląska, a także kierujący dyskusją na temat reorganizacji samorządu terytorialnego.

Po przewrocie majowym wycofuje się z życia politycznego poświęcając się prawie wyłącznie pracy uniwersyteckiej.

Osobne miejsce zajmuje działalność religijna w rozmaitych sferach, także organizacyjnej. Jest więc (od 1933 r.) organizatorem zamkniętych rekolekcji dla profesorów uniwersytetu (kontynuowanych jeszcze pierwsze lata powojenne), przewodniczy Komitetowi Budowy Kościoła Akademickiego OO. Dominikanów, pisze przemyslenia filozoficzno-religijne zawarte następnie w książce *Rozważania* (6 wydań, w kraju i za granicą).

Na początku wojny zostaje uwięziony przez Niemców jako zakładnik wojskowy, następnie zaś wysiedlony wraz z rodziną do tzw. Generalnej Gubernii. Po 2 latach tułaczki w woj. kieleckim przenosi się (z rodziną) do Warszawy, gdzie wykłada na tajnych kompletach Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Ziemi Zachodnich (Poznańskiego). Tu też wydaje podręcznik *Polskie prawo administracyjne* w tajnej drukarni pod pseudonimem Łużycki. Po wojnie podręcznik ten został trzykrotnie wznowiony, na czwarte wydanie nie zezwoliła już cenzura. Był to pierwszy z tego przedmiotu podręcznik w naszej literaturze.

W Warszawie przeżywa Profesor Powstanie Warszawskie, a okres tułaczki popowstaniowej kończy się po powrocie do Poznania 16 marca 1946 r. Natychmiast podejmuje obowiązki uniwersyteckie, jako prodziekan kieruje Wydziałem Prawno-Ekonomicznym, pracuje intensywnie przy jego odbudowie i odbudowie Uniwersytetu.

Organizuje i prowadzi wspólnie z kilkoma profesorami wyższe seminarium z prawa publicznego poświęcone w szczególności zagadnieniom prawa okupacyjnego i samorządu. Pod jego kierunkiem napisano dwie prace doktorskie.

Dziełem Kasznicy było także utworzenie w ramach Instytutu Zachodniego sekcji prawnej, która współpracowała z Ministerstwem Ziemi Odzyskanych i przygotowała kilka projektów ustaw, m.in. dotyczących uwłaszczenia osób przesiedlonych na Ziemię Odzyskaną. Sekcja, a następnie wyłoniony z niej odrębny Instytut Prawa Publicznego wydawały pod redakcją S. Kasznicy periodyk „Administracja i Samorząd na Ziemiach Odzyskanych” (łącznie ponad 20 tomów), który odegrał wybitną rolę w dziejach budowy polskiej administracji na tych ziemiach.

Działalność uniwersytecką St. Kasznicy przerywa przeniesienie go ze względów politycznych w stan spoczynku dnia 31 grudnia 1947 r. Mimo to pracuje nadal. Przez pewien czas wykłada jeszcze w Akademii Handlowej; odtwarza i rozszerza zniszczoną podczas powstania rozprawę socjologiczną *O władzy*; tłumaczy *Summę św. Tomasza z Akwinu*; pisze krótkie eseje filozoficzno-religijne.

Przemiany październikowe 1956 r. umożliwiły reaktywowanie S. Kasznicy na katedrze uniwersyteckiej. Mimo sędziwego wieku bierze znów udział w dyskusjach seminaryjnych na temat przywrócenia sądownictwa administracyjnego i Najwyższej Izby Kontroli.

Zmarł w dniu 17 listopada 1958 r. w Krosinku koło Poznania.

Ród Kaszniców

Ród nasz – a przynajmniej trzy poprzedzające mnie pokolenia – wywodzą się z Małopolski, z ziemi krakowskiej.

W księdze jubileuszowej wydanej dla upamiętnienia 500-letniej rocznicy założenia Uniwersytetu Jagiellońskiego w spisie osób, które w ciągu tego okresu otrzymały na nim stopnie naukowe, znajduje się w w. XVI bakałarz prawa „Marcin Kasznica”.

Raz tylko w życiu spotkałem człowieka noszącego nasze nazwisko, a nie należące do naszej rodziny. Zgłosił się on do mnie w Poznaniu w jednym z lat międzywojennych tylko po to, by się dowiedzieć czy nie łączy nas jakie pokrewieństwo. Spisałem dotyczące go dane. Notatka ta zginęła z innymi papierami w 1939. Tyle pamiętam, że mieszkał w Płocku, miał uniwersyteckie wykształcenie i był nauczycielem.

Nieraz słyszałem, że na Podolu rosyjskim jest rodzina Kaszniców, ziemian, którzy się o nas dopytują. Nie spotkałem się z nimi.

W czasie mego pobytu w Heidelbergu w 1905–6 informowali mnie Niemcy, że ówczesnym intendentem wielkoksiażących teatrów w Karlsruhe był generał Freiherr von Kaschnitz. Na cmentarzu kościelnym w Makowie Podhalańskim, gdzie spędziliśmy lato 1926, znaleźliśmy nagrobek z XVIII wieku z napisem niemieckim „Freiherr Kaschnitz von Weinberg”. – Na cmentarzu krakowskim znajduje się nagrobek baronowej „Kaschnitz”. – Z brzmienia nazwiska, z uwagi na jego źródłosłów należałoby sądzić, że owi „Kaschnitzowie” pochodzili ze zgermanizowanego rodu słowiańskiego.

Dane o pradziadku i dziadku moim a także o rodzinie babki mojej, o Pankach, otrzymałem przeważnie od ciotecznej siostry mojej Zofii Jaworskiej. Ojciec odumarł mnie, kiedy miałem 13 lat, nie mógł więc przekazać mi tych cennych wiadomości.

Antoni Kasznica, pradziad mój.

W papierach po moim Ojcu była metryka jego ślubu. Zagubiła się. Pamiętam z niej, że nazwisko było tam podane: „Kasznica vel Kasznic”, – imię – Antoni i nazwisko panieńskie jego żony: „Bogażnic”.

Dzieci Antoniego Kasznicy: syn Wincenty i dwie córki: Grylińska i Jastrzębska.

O Grylińskiej – czy pozostawiła potomstwo – nic nie wiem.

Syn Jastrzębskiej – Teodor. Miał dwóch synów i dwie córki: Dziewicką i Gąsiorowską.

Jeden syn umarł młodo. Drugi wyemigrował do Anglii, ożenił się z Angielką i miał z nią czterech synów – Anglików. Jeden z nich Tadeusz, literat, przyjeżdżał do Polski, do Gąsiorowskich.

Mąż Adeli Dziewickiej, Anglik pochodzenia polskiego, był lektorem języka angielskiego w Uniwersytecie Jagiellońskim, literatem, tłumaczem dzieł polskich

na język angielski. Ona rozwijała w Krakowie szeroką działalność katolicko-charytatywną. Pogrzeb jej był wielką manifestacją. Bezdzietni.

Mąż Kazimiery Gąsiorowskiej był zamożnym przemysłowcem warszawskim. Jedyne dziecko ich Stanisław jest profesorem archeologii klasycznej w Uniwersytecie Jagiellońskim, wybitnym uczonym, członkiem PAN. Ożeniony z Marią Jarosławiecką, b. asystentką przy katedrze historii sztuki U.J. Syn ich jedyne dziecko Stanisław jest asystentem w Zakładzie Geologii PAN. W ostatnich latach nawiązaliśmy z nimi przez Elunię¹ serdeczny rodzinny stosunek. Parokrotnie spędzaliśmy w Krosinku po parę tygodni w okresie letnim.

Wincenty Kasznica, syn Antoniego, mój dziad. 1798–1867.

Był prawnikiem-adwokatem. Prowadził m.in. interesy Aleksandra Wielopolskiego, z którym łączył go bliższy stosunek. Był czynny politycznie. Zasiadał w ławie (niższa izba) Wolnego miasta Krakowa. Prof. Wacław Tokarz w dziele swoim o W. M. Krakowie wspomina o jego działalności patriotyczno-konspiracyjnej w okresie przed powstaniem 1863. Tokarz zwracał się do mnie o bliższe o Nim dane. Niestety nic więcej o Nim nie wiedziałem. – Po przedwczesnym owdowieniu osiadł w Bronowicach pod Krakowem (wstawionych przez Wyspiańskiego w *Weselu*) dzierżawionych od Kościoła Panny Marii w Krakowie, z którego proboszczem X. Kogotowiczem był zaprzyjaźniony. Gospodarstwo prowadziły mu siostry zmarłej żony, Teresa i Kunegunda Panek. – Pochowany na cmentarzu krakowskim w pobliżu grobowca mego Ojca. W mieszkaniu naszym na Grottgera wisiała nad moim biurkiem duża jego fotografia. Siedzi w fotelu. Ubrany w czarną. Ciężka postać: przypomina Wielopolskiego. Wielka masywna głowa. Twardy, przenikliwy nieco pośępny wyraz oczu. Bije z tej postaci mocna wola, autorytet.

Władzę ojcowską sprawował w duchu patryjarchalnym. Świadczy o tym następujący fakt. Ojciec mój był już profesorem Szkoły Głównej w Warszawie. Nie miał jeszcze 30-u lat, nie był żonaty. Cichą nad nim kontrolę sprawował dużo starszy jego kolega uniwersytecki a przyjaciel dziadka, prof. Walenty Dutkiewicz. Doniósł on dziadkowi, że Ojciec bywa w domu jednego z najbogatszych bankierów warszawskich Natansona i jakoby zamierza żenić się z jego córką. Wtedy dziadek napisał do Ojca list w niesłychanie ostrych słowach karcący Go za myśl ożenienia się z żydówką. List ten znalazłem w papierach po Ojcu. Czy istotnie miał ten zamiar..? (Owa Natansonówna wyszła za mąż za Cypriana Godebskiego, twórcę pomnika Mickiewicza w Warszawie).

Dom Dziadka stał na wysokim poziomie kulturalnym. Był tam dobrobyt. Dbał o zapewnienie dzieciom najlepszego wykształcenia i wychowania. Ożeniony z Agnieszką Panek. Miał z nią czworo dzieci: trzech synów: Józefa, Władysława i Augusta i córkę Marię zamężną Jaworską. Babka moja Agnieszka i najmłodszy August umarli w 1855 na cholera srożącą się wówczas w całej Galicji.

W salonie na Grottgera wisiał portret Augusta ofiarowany mi przez Zofię Jaworską. Ładny chłopiec w aksamitnym ubranku z dużym koronkowym kołnierzem. Uderzająco był do niego podobny nasz Andrzej w tym wieku.

Władysław Kasznica, syn Wincentego, mój stryj.

Dziadek i Ojciec mój dużo mieli z nim kłopotu. Nie chciał się uczyć, bawił się, zaciągał długi. Oddali go do wojska. Przebywał stale poza krajem w różnych garnizonach: w Wiedniu, Ołomuńcu a najdłużej w Bośni od chwili wojskowej okupacji jej przez Austrię (1878). W końcu już w szarży majora przeniesiony został do Krakowa gdzie służył w 20-ym pułku piechoty („dzieci Krakowa”). Kiedy po śmierci Ojca (1887) przenieśliśmy się ze Lwowa do Krakowa, po raz pierwszy zeszedłszy się z nim i jego rodziną i zawiązaliśmy z nimi bliskie rodzinne stosunki. Niedługo to trwało: w 1888 nagle umarł.

Piękny mężczyzna. Regularne, szlachetne rysy. Otwarty wesóły wyraz oczu. Ogromnie serdeczny w obejściu a „szarmancki” w obcowaniu z paniami.

Ożeniony z Józefą Brunicką. Rodzina pochodzenia żydowskiego, obdarzona austriackim tytułem baronowskim, skoliigacona z arystokracją polską. Pocziwe, ograniczone, niegospodarne kobiecisko. Po śmierci męża przeniosła się do Wiednia a właściwie uciekła przed dłużnikami i tam umarła.

Dzieci Władysława Kasznicy: cztery córki: Teresa, Jadwiga, Maria, Natalia.

Teresa zamężna Krzepowska. Mąż jej Waław był inżynierem w Wydziale Krajowym we Lwowie. Potem utworzył własne przedsiębiorstwo, zakład poligraficzny w Krakowie na Dębnikach. Doskonale się ono rozwinęło, był zamożnym człowiekiem.

Krzepowscy mieli czworo dzieci: dwóch synów, Jana i Mariana i dwie córki:

Jadwigę i Józefę. – O Janie nic nie wiem, podobno się wykoleił. – Marian fototypista, żonaty, bezdzietny. – Jadwiga zamężna Jańkiewiczowa. Mąż jej Stefan urzędnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie. Utrzymywaliśmy z nimi stosunki w czasie okupacji. Jedyne syn ich Waław, student medycyny, wywieziony do Niemiec miał tam zginąć od bomby. – Józefa zamężna ze współwłaścicielem fabryki porcelany w Ćmielowie. Nazwiska męża nie pamiętam. Bezdzietni.

Jadwiga Kasznicówna nie wyszła za mąż. Mieszkała u siostry Teresy. Maria Kasznicówna artystka teatrów cesarskich w Wiedniu. W starszym wieku wyszła za mąż za Koschula oficera austriackiego. Bezdzietni. Natalia Kasznicówna zamężna za baronem Christiani właścicielem majątku ziemskiego Przybyłówka (czy Przybyszówka?) w Rzeszowskim. Bezdzietni.

Tak tedy ta linia po Władysławie Kasznicu właściwie wygasła.

Maria Jaworska, córka Wincentego Kasznicy, moja ciotka.

Wysoka, postawna, za młodu piękna. W obejściu wyniosła, ceremonialna. Poziomem wykształcenia przewyższała przeciętną kobietę swojej sfery. Synowi swemu pomagała w pracy naukowej.

Mąż jej Ludwik Jaworski był naczelnikiem urzędu celnego w Zawichoście, potem w Końskich. Umarł wcześniej na gruźlicę, pozostawiając żonę z dziećmi niedorosłymi bez żadnego zaopatrzenia. Dzieci się rozproszyły. Ona z najmłodszą Zofią osiadła w Bronowicach u ciotek Panek. Gdy najstarszy Józef skończył uniwersytet i rozpoczął praktykę lekarską, zamieszkała u niego w Warszawie i do końca życia swego prowadziła mu dom.

Matka Ludwika Jaworskiego z domu Lentzka należała do rodziny pochodzenia niemieckiego, właścicieli browaru w Warszawie. Ojciec jego po owdowieniu ożenił się powtórnie z Włoszką Nesti. Jedna z córek z tego małżeństwa wyszła za Kaczkowskiego, druga za Adama Towiańskiego, syna Andrzeja – „proroka”, mistrza duchowego Adama Mickiewicza. W tych rodzinach i w paru jeszcze innych z nimi spokrewnionych przechowywano naukę towianizmu i kult jej twórcy.

Dzieci Marii Jaworskiej: dwóch synów: Józef i Ludwik i trzy córki: Jadwiga, Maria, Zofia. Żadne z nich nie założyło własnej rodziny.

Józef Jaworski – wybitnie zdolny, umysł krytyczny, sceptyk. Choleryk, gwałtowny. Szedł o własnych siłach przez szkoły dając korepetycje a przez uniwersytet pracując w dziennikarstwie. Jako ginekolog zdobył sobie w Warszawie rozległą praktykę i doskonale zarabiał. Pracował naukowo. W 1914 habilitował się w Uniwersytecie Jagiellońskim na docenta ginekologii. W 1919–1920 był dyrektorem departamentu w Ministerstwie Zdrowia. Umarł w 1920 r.

Ludwik Jaworski – dobry, uczynny, łagodny człowiek. Miał cechy idealnego pielęgniarsza-samarytanina. Mało zdolny. Nie ukończył gimnazjum. Przez krótki czas za młodu przebywał w seminarium duchownym (W zaborze rosyjskim dla przyjęcia do seminarium wystarczyło ukończenie czterech klas gimnazjalnych). Był urzędnikiem kolei warszawsko-wiedeńskiej, gdzie go mój Ojciec ulokował. Często przebywał w domu moich rodziców, stołował się u nas. Potem zamieszkał u brata i pełnił przy nim funkcje jakby sekretarza i.. kamerdynera.

Jadwiga Jaworska charakterem podobna do brata Józefa. Zdolna, ambitna, niezależna, autorytatywna. Wstąpiła do Zakonu Wizytek ale nie wytrzymała karności zakonnej i wystąpiła z nowicjatu. Związała się na całe życie z ciotką swoją niemal rówieśnicą Marią Lentzką. Doskonale prowadziła jej interesy. Sama wygrała na loterii 100.000 rubli i zahipotekowała tę sumę na kamienicy Lentzkiej przy ul. Czackiego (Włodzimierskiej) stała się niejako współwłaścicielką. Żyły w dostatku, co rok wyjeżdżały za granicę. Pod jej wpływem Letzka przeszła z protestantyzmu na katolicyzm. Zmarła na cukrzycę w wielkich cierpieniach. Dom na Czackiego zapisały Seminarium Duchownemu w Warszawie zastrzegając rentę dożywotnią na rzecz siostry Zofii.

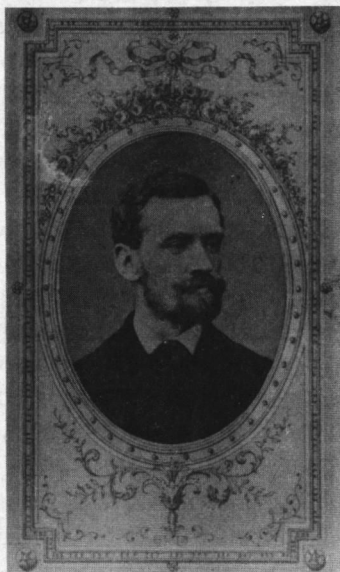
Maria Jaworska – cicha, spokojna, małomówna. Duch niezależny. Mocna, świadoma celu wola. Wstąpiła do Magdalenek – zgromadzenia oddanego ratowaniu prostytutek – ale i ona nie wytrzymała dyscypliny zakonnej. Po wystąpieniu zorganizowała sobie na własną rękę życie zakonne. Przez szereg lat była kierowniczką szpitala przy kopalni Niemce k/Dąbrowy Górniczej i tam w ciężkich warunkach prowadziła działalność misyjną wśród zdziczałej ludności górniczej. Na starość schorowana przeniosła się do Warszawy do siostry Jadwigi i tu umarła.

Zofia Jaworska aż do śmierci matki nie rozstawała się z nią nigdy. Potem prowadziła dom bratu swemu Józefowi. Po jego śmierci została nauczycielką w szkole gospodarstwa domowego. Gdy Staś² objął stanowisko dyrektora administracyjnego garbarni Rogowskich w Gnieźnie właśnie i ona wtedy musiała opuścić Warszawę, poprostu uciekła z niej z obawy przed szantażującą ją służącą.

Przyjechała do Stasia, prowadziła mu dom najpierw w Gnieźnie a potem w Poznaniu. Niedługo przed wojną powróciła do Warszawy i zamieszkała jako pensjonariuszka w Zakładzie S.S. Urszulanek. W czasie powstania wygnana z Warszawy tułała się w skrajnej nędzy, aż wreszcie dostała się pod opiekę Stasia w Częstochowie. Stąd zabrał ją ze sobą do Krosinka, a potem do Krosna. Gdy opuścił z żoną Krosno dostała się pod moją opiekę. Umieściłem ją w Zakładzie dla starców S.S. Szarytek w Poznaniu. Tu zmarła.

Prawa, prostolinijna, nieco szorstka, weredyczka. Mocna wola. Wiele zdrowego sensu życiowego. Głęboko religijna. Zdobyła sobie szacunek i u siostr i u współpensjonariuszy Zakładu, w którym spędziła ostatnie lata życia.

Na niej wymarła całkowicie ta gałąź rodzinna.



Józef Kasznica

Profesor Szkoły Głównej w Warszawie i Uniwersytetu we Lwowie, ojciec Autora.

Józef Kasznica najstarszy syn Wincentego, mój Ojciec.

Urodził się w 1834 w Dynowie pow. Brzozowskiego. Mieszkali tam wówczas Pankowie rodzice babki Agnieszki. Pojechała tam by w domu rodzicielskim pod opieką matki odbyć swój pierwszy połów.

Jedyną osobą, która mogła mi opowiedzieć o Jego dzieciństwie i pierwszej młodości była ciotka Jaworska. Niestety nie wykorzystałem tego. Istnieje na szczęście jedna niezmiernie cenna informacja o Nim z tych czasów. Znajduje się ona w książce Stanisława Tarnowskiego profesora literatury polskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim, prezesa Akademii Umiejętności p.t. *Szujskiego lata szkolne*. Kraków 1885. Odbitka z „Przeglądu Polskiego”.

Szujski był znakomitym historykiem, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, jednym z głównych założycieli krakowskiej szkoły historycznej, która pierwsza wprowadziła do historii Polski ściśle naukowe metody badawcze.

Przepisuję z 55-ej strony tej książki:

„Przypominając sobie dziś i sądząc naszą ówczesną klasę (VIII gimnazjum św. Anny w Krakowie) można bez zarzucia przyznać, żeśmy byli dobre chłopcy. Byliśmy także klasą świetną: nie tak niesłychanie świetną jak ta, co nas o dwa lata poprzedziła, ale zawsze dosyć. Tamta bowiem miała w szkole reputację kolosalną; żadna nie była tak zuchwałą, żeby się miała za równą, nie dopiero od niej wyższą. Bardzo liczna tamta klasa była jak wiosna roku 1812 „ludźmi błyszcząca i nadzieją brzemienna” – a co obiecywała, to i spełniła. Pierwszym był w niej Józef Kasznica, dziś profesor warszawskiego uniwersytetu uważany już wtedy przez równych wiekiem i młodszych za to, czem został na zawsze: za charakter najbardziej jednolity a wyrobiony, najstateczniejszy, za personifikację prawnego sumienia i uczucia obowiązku...”

Studia uniwersyteckie na wydziale prawnym zaczynał w Krakowie, kończył w Wiedniu, gdzie się doktoryzował. Potem wstąpił do Prokuraturii Skarbu w Wiedniu.

Był to urząd reprezentujący interesy państwa (fiskusa) przed sądami w sprawach cywilno-prawnych – jakby adwokat państwa. W Polsce międzywojennej odpowiednikiem jego była Prokuratura Generalna R.P. Przyciągał do siebie i gromadził elitę prawniczą.

W tym czasie był korespondentem politycznym krakowskiego „Czasu”.

Za urlopem udał się do Paryża dla dalszych studiów naukowych. Stąd w 1862 powołał go margrabia Aleksander Wielopolski na katedrę encyklopedii prawa i prawa kościelnego do organizującej się właśnie w Warszawie Szkoły Głównej. W r. 1866 zostaje profesorem zwyczajnym a w 1867 – dziekanem Wydziału.

Od czasu złamania rewolucji 1830/31 roku – a więc przez okres życia jednego pokolenia nie było w zaborze rosyjskim ani jednej szkoły wyższej. To też społeczeństwo polskie z uniesieniem powitało otwarcie Szkoły Głównej nie mającej nazwy uniwersytetu ale w całej pełni jego charakter. Trwała zaledwie siedem lat, ale wydała całą plejadę wybitnych ludzi, odegrała ogromną rolę dla podniesienia poziomu kultury tej dzielnicy Polski.

Czym była Szkoła Główna warszawska, jaką była jej działalność i zasięg oddziaływania, daje pojęcie dzieło Aleksandra Kraushara: *Siedmioletnie Szkoły Głównej*. Jest w nim charakterystyka wybitniejszych profesorów. Wśród nich pierwszoplanowe miejsce zajmuje Józef Kasznica. Zasłynął od razu jako świetny wykładowca. Na prelekcjach jego sala była zawsze przepełniona: przychodzili nie tylko prawnicy lecz i studenci innych wydziałów, nie tylko młodzież lecz i ludzie starsi, dużo starsi od profesora nie mającego jeszcze trzydziestu lat. Od pierwszych lat zdobył sobie poważne stanowisko w społeczeństwie warszawskim.

Młodzież akademicka pod wpływem ciała nauczycielskiego nie dała się w masie swojej wciągnąć w 1863 do powstania. Dlatego Szkoła na razie ocalała. Lecz nie na długo; musiała ulec zagładzie, bo tego wymagała polityka bezwzględnej rusyfikacji prowadzona na wszystkich polach po zdławieniu powstania.

W 1869 roku polska Szkoła Główna została przekształcona na rosyjski Cesarzowski Uniwersytet Warszawski.

Dotychczasowych profesorów nie usunięto. Obowiązywała jednak zasada, że na miejsce każdego profesora-Polaka, który z jakiegokolwiek powodu ustępował z katedry, mógł być mianowany tylko profesor-Rosjanin. Zasada ta była przeprowadzana bezwzględnie bez żadnego wyjątku.

Językiem wykładowym był oczywiście język rosyjski. Profesorom nieznającym tego języka pozwolono czasowo wyklądać nadal po polsku. W ciągu dwóch lat musieli na tyle nauczyć się rosyjskiego, aby po upływie tego czasu móc wyklądać w tym języku. Tak więc po dwóch latach język polski miał być całkowicie wyrugowany ze szkoły.

Ponadto profesorowie, którzy mieli stopnie naukowe zagraniczne aby utrzymać się na katedrze winni byli w określonym terminie zdobyć stopień naukowy na jednym z uniwersytetów rosyjskich.

Stanowisko profesorów wobec tych zarządzeń nie było jednolite. Część – mniejszość uważała, że obowiązek patriotyczny nie pozwala na wyklądanie w języku rosyjskim, bo tym sami przykładaliby rękę do rusyfikacji. Inni byli zdania, że ważniejszą, istotną rzeczą jest treść wykładu, duch jego, aniżeli język: póki Polacy będą profesorami szkoła będzie miała charakter polski i nie będzie mogła służyć za narzędzie rusyfikacji. Obowiązkiem jest przeto utrzymać się na katedrze póki tylko się da. Tę drugą opinię reprezentował Kasznica i postanowił zostać. Postanowienie to powziął mimo świadomości, w jak ciężkich warunkach przyjdzie mu teraz pracować, mimo, że miał widoki realne otrzymania katedry w Krakowie czy we Lwowie a tym samym powrotu do dzielnicy, która właśnie przed paru laty zdobyła szeroką autonomię, gdzie więc otwierały się dla niego perspektywy swobodnej bujnej działalności publicznej – do dzielnicy, z którą łączyło go tyle węzłów uczuciowych.

Nie znał zupełnie języka rosyjskiego. Nauczył się go tak, że po dwóch latach rozpoczął już wyklądać po rosyjsku.

Stopień doktorski otrzymał w Uniwersytecie Petersburskim na podstawie pracy: *O istocie prawa (O suszczności prawa)*. Mianowany został profesorem zwyczajnym Encyklopedii Prawa (odpowiadała ona katedrze „Teorii i Filozofii Prawa” w programie wydziałów prawnych uniwersytetów polskich w latach międzywojennych). Od r. 1876 stale wybierany dziekanem wydziału prawnego, z reguły zastępował rektora w czasie jego nieobecności, był członkiem (przewodniczącym?) komisji dyscyplinarnej dla studentów. Przy pełnieniu tych funkcji był niezmiernie opiekunem i obrońcą młodzieży. A jakże często trzeba było stawać w jej obronie. Niezmiernie ciężkie były te lata popowstaniowe. Szło

o zniszczenie wszystkiego co polskie, o złamanie duszy polskiej. Przewodniczyła temu i natchnienie dawała oślawiona trójka: Hurko., generał-gubernator „Prywislanskawo Kraja” (wraz z żoną swoją Marią Andrejewną Szwajcarką z pochodzenia, z domu hr. Salis, szczególnie wrogo do nas nastawioną), Apuchtin, kurator warszawskiego kręgu naukowego i Jankulio, prezes komitetu cenzury. Ten Apuchtin, który obejmując urząd faktycznego dyktatora spraw nauki i oświaty w Królestwie miał obiecać cesarzowi, że za dziesięć lat nianki śpiewać będą dzieciom polskim piosenki rosyjskie. Solą im w oku było to skupisko młodzieży polskiej zdobywającej wyższe wykształcenie we własnym kraju, przepojonej patriotyzmem, niedostępnej dla wpływów rasyfikacyjnych. Dążono do skasowania Uniwersytetu Warszawskiego, aby młodzież nasza była zmuszona rozproszyć się po uniwersytetach rosyjskich. Trzeba było jednak o jakiś pretekst. Sprowokowano czymś wzburzenie młodzieży. Zebrała się ona na Krakowskim Przedmieściu, bo wejście do Uniwersytetu zamknięto. Podniecenie wzrastało, a niewątpliwie gdzieś w pobliżu czekała na sygnał sotnia kozaków.

I wtedy Ojciec z ganku przed kościołem św. Krzyża, gdzie stoi figura Chrystusa dźwigającego krzyż, przemówił do młodzieży: wyjaśnił sens gry, której stawką jest byt Uniwersytetu, zaapelował do poczucia obowiązku obywatelskiego, wezwał do rozejścia się. I młodzież posłuchała. Plan podstępny nie udał się.

To też „Dziekan Kasznica” – inaczej Go nie nazywano – zaskarbił sobie wdzięczność, miłość i cześć młodzieży a powszechne poważanie w społeczeństwie. Po wielu latach kiedy spotykałem w Warszawie czy na prowincji dawnych uczniów Ojca i oni dowiedzieli się, że jestem Jego synem, rozjaśniały się zawsze twarze, wyciągały się ku mnie ramiona, okazywano mi serdeczną pomoc.

Zdzierały się jednak Jego siły w tej ciągłej walce, a był słabego zdrowia. W 1883 czy 1884 przywieziono Go z Uniwersytetu zemdlonego: dostał krwotoku z kiszek. Szereg tygodni ciężko chorował. Było to pierwsze groźne ostrzeżenie.

W tym czasie kończyło się 25-lecie Jego służby. Należało się liczyć z tym, że zostanie z urzędu przeniesiony w stan spoczynku. Rozpoczął więc starania o katedrę w polskim uniwersytecie. Przyjaciele, koledzy krakowscy gorliwie się tym zajęli. W Krakowie nie było niestety widoków na opróżnienie katedry. W 1886 uzyskał nominację na katedrę prawa kanonicznego w Uniwersytecie Lwowskim opróżnioną właśnie przez Edwarda Rittnera mianowanego szefem sekcji w wiedeńskim Ministerstwie Oświaty. W jesieni tego roku opuścił Warszawę i przeniósł się z rodziną do Lwowa.

Na parę dni przed odjazdem przybyła do Ojca delegacja młodzieży akademickiej i wręczyła Mu dar: berło akademickie i adres na pergaminie. Berło wykonane według projektu Wojciecha Gersona wykute ze srebra złoczonego. (Kiedy w 1944 w czasie powstania wypędzono nas z Warszawy, berło pozostało w piwnicy domu przy ulicy Smulikowskiego i tam zginęło).

W chwili wyjazdu naszego z Warszawy dworzec od brzegu do brzegu był wypełniony młodzieżą. Tłum milczący: nie wolno było przemawiać. Gdy pociąg ruszył wszyscy zdjęli czapki i tak stali z odkrytymi głowami póki nie zniknął.

Cała prasa warszawska żegnała Ojca serdecznymi artykułami. „Tygodnik Ilustrowany” i „Kłosa” dały na pierwszej stronie dużą Jego fotografię.

Dyrekcja kolei warszawsko-wiedeńskiej – wówczas jeszcze prywatnej – ofiarowała Ojcu przejazd I-ą klasą całej rodziny i przewóz mebli do granicy darmo.

Otwierała się przed Nim perspektywa swobodnej działalności publicznej. Już na rok 1887/8 został wybrany dziekanem Wydziału Prawa. Niewątpliwie w niedługim czasie zostałby rektorem, wszedłby do Sejmu galicyjskiego i do parlamentu wiedeńskiego. – W lecie 1887 przewodniczył I-mu ogólnopolskiemu zjazdowi prawników i ekonomistów w Krakowie. Dyskutowany był na nim nowatorski jego projekt przekształcenia wydziałów prawa na wydziały nauk społecznych.

Po kuracji w Szczawnicy kiedy powrócił do Lwowa do swych zajęć, nagle dostał tego samego krwotoku i po niespełna tygodniu zmarł 7 października 1887 w sile wieku, w 54-ym roku życia.

Pochowany w swym rodzinnym Krakowie. Grobowiec z piaskowca, na nim wielki krzyż z czarnego granitu szwedzkiego. Na jego podstawie medalion Jego z brązu.

Cała prasa polska żegnała Go. W miesięczniku krakowskim, „Przeglądzie Polskim” (1887/II, str. 405, vide 99) Stanisław Tarnowski i Fryderyk Zoll narysowali piękną jego sylwetkę duchową.

Byli Jego uczniowie ze Szkoły Głównej i Uniwersytetu Warszawskiego ufundowali na Jego cześć w kościele Jezuitów (popijarskim) przy katedrze św. Jana w Warszawie tablicę marmurową z portretem Jego na złoczonej blasze. Kościół ten został w czasie powstania 1944 doszczętnie zburzony, więc i tablica przepadła.

Ocalał portret Jego pośmiertny. Malowała go Emilia Dukrzyńska z fotografii, ale znała Go osobiście: uchwyciła nie tylko podobieństwo ale też oddała oblicze duchowe.

Stanisław Tarnowski tak pisze we wspomnieniu pośmiertnym („Przegląd Polski”, 1887/II, str. 420 sq.):

„Kasznica jest cały z jednej sztuki czy z jednego odlewu – mawialiśmy o nim – nie ma w nim spojeń ani sprężyn ... coś posągowego było już w nim w tych czasach (w młodości) ... Można by rzec młody Rzymianin ... Tak jest: w tęgości woli i stałości charakteru, z jasności i trzeźwości umysłu, z surowości obyczaju i stałości charakteru, z jasności i trzeźwości umysłu, z surowości obyczaju i karność względem obowiązku i siebie samego. Ale jak miał więcej od swoich rówieśników rzymskiego, tak miał on też więcej od nich wszystkich chrześcijańskiego charakteru. Nie mówię uczuć, ale charakteru, bo na tym właśnie polegała różnica, że kiedy u nas usposobienie religijne zasadzało się wtedy jedynie na uczuciach i odebranych w domu naukach, to u niego już ono było przejęte na wskroś i owaładło rozum i wolę... Wiara i Kościół były dla niego nierozdzielne dwie

części jednego jestestwa i być bez siebie nie mogły. Kto jedną wyznawał, ten musiał przyznawać się do drugiego i słuchać go. Ten duch bez tego ciała na naszym świecie być nie może... Dla nas, jego rówieśników i towarzyszy młodości, było wielkim szczęściem, które może dziś dopiero należycie docenić umiemy, mieć pośród siebie takiego, który bez wiedzy i zamiaru, tylko skutkiem swej natury i wartości był nad nami ... *censorem morum*, hamulcem i postrachem od złego... Czuliśmy wszyscy zgodnie instynktem i wiedzieli dobrze, że choć ten lub ów mógł go jakimś przymiotem przewyższać, to on był z nas wszystkich najdoskonalszy... I takim już został na całe życie. Jednostajność doskonałości, która w tej samej mierze od pierwszej młodości do zgonu niezmienna i nienaruszona, tym samym torem i tym samym krokiem idzie wśród trudów i zapasów życia, wybierając zawsze trafnie a pełniąc zawsze dzielnie każdy obowiązek chrześcijańskiej i obywatelskiej cnoty, oto w kilku słowach cecha i istota życia Kasznicy..."

Dopiero w 70 lat po śmierci Ojca ukazały się w prasie fachowej prawniczej artykuły omawiające działalność naukową Jego. (Artykuły Opałka i Wróblewskiego, Janiszewskiej, Spalińskiego w R. IX czasopisma „Państwo i Prawo”). Cytuję kilka ustępów rozprawy Krzysztofa Kozłowskiego p.t. *Nauki społeczne w ujęciu Józefa Kasznicy*:

„Problematyka prac Kasznicy obejmuje: 1-o, zagadnienie istoty prawa, 2-o, zagadnienie charakteru nauk społecznych, a na ich tle nauk prawnych... Ukazanie nauk prawnych na szerokim tle historycznych przemian przy równocześnie niezmiernie silnym podkreśleniu ich organicznego związku z resztą nauk społecznych – oto co cechowało poglądy naukowe prof. Kasznicy reprezentującego okres poprzedzający bezpośrednio tzw. „polski pozytywizm prawniczy” ... Nie oddzielenie od siebie, ale właśnie zaakcentowanie nauk społecznych a wśród nich i prawnych, stanie się celem prac K.... Istotną cechą poglądów K. pozostanie fakt położenia nacisku na wieloaspektowość badanych zjawisk przy jednoczesnym silnym ich powiązaniu. Uszło to w tym czasie zupełnie uwagi twórcy znanej klasyfikacji nauk, jakim był Wilhelm Wundt. Nie dostrzegł on (Wundt), że mamy do czynienia ze zróżnicowanym metodologicznie zespołem nauk związanych wspólnym przedmiotem... Poglądy K. nabiorą dopiero właściwego wyrazu, gdy unaocznimy sobie, jak dalece odbiegają jego koncepcje oparte o zrozumienie związku rozwoju nauk społecznych z przemianami społeczno-gospodarczymi od współczesnych mu prawie idealistycznych teorii „dziejów ducha przedmiotowego i podmiotowego” czy nieporadnej kompilacyjnej „historii cywilizacji”... Od strony formalnej uderzająca jest uporczywa dążność Jego do jaknajwiększej ścisłości i jasności przy równoczesnym braku – w przeciwieństwie do wykładów (w których posiadając olbrzymią erudycję podawał ogromną literaturę przedmiotu) – całego balastu naukowego i odwoływania się do cudzych poglądów. Stanowi to zupełny wyjątek wśród ówczesnych polskich teoretyków prawa... Żyjąc w okresie przeszczerpienia na grunt polski szeregu prądów z Zachodu, stara się K. zachować zawsze trzeźwy, możliwie niezależny sąd, unikając starannie wszelkiej jednostron-

ności oraz unikania tak modnych wówczas, a nie sprecyzowanych neologizmów. Stąd też wynika trudność w zakwalifikowaniu jego poglądów do któregoś z panujących wówczas kierunków...”.

Józef Kasznica był żonaty najpierw z Zofią Trębicką, córką Antoniego i Pauliny z Rutkowskich, a po niespełna rocznym z nią pożyciu i jej śmierci z starszą siostrą Izabelą. Miał z nią cztery córki: Zofię, Marię, Paulinę, Izabelę i dwóch synów: Stanisława i Kazimierza.

Izabela Kasznicowa, najtroskliwsza żona i matka. Piękna, wykwintna, rasowa. Prawdziwa „dama”. Wnosiła w obcowanie towarzyskie lotną inteligencję i duże odczytanie. Po Trębickich odziedziczyła pewną skazę nerwową: niepokój wewnętrzny, chwiejną równowagę duchową. Brak jej było praktycznego, realnego zmysłu w sprawach życiowych. Potrzebowała oparcia i kierownictwa i znajdowała go w mężu. Po jego śmierci szamotała się bezradnie.

Pozostała z sześciorgiem niedorośliwych dzieci: najstarsze miało 17 lat, najmłodsze 8.

Sytuacja materialna była dobra. Rok przed tym umarł jej ojciec: odziedziczyła po nim 50-włókowy (1.500 morgowy) majątek ziemski Dziekanów. Położony nad Wisłą blisko Warszawy (18 km. od centrum miasta) przy szosie wiodącej do Modlina, w doskonałej glebie. Był wprawdzie zadłużony, ale dzięki sprzedaży 17-włókowego lasu i parcelacji gruntów poleśnych można było spłacić prywatne długi i przy umiejętnym gospodarowaniu zapewnić sobie dostatnie życie.

Poza tym miała matka dwie emerytury: rosyjską przyznaną ojcu przy ustąpieniu z katedry uniwersytetu warszawskiego i austriacką, ojciec bowiem przenosząc się na uniwersytet lwowski zastrzegł sobie zaliczenie lat służby spędzonych w Warszawie.

Rozsądek nakazywał aby po śmierci ojca natychmiast osiąść w Warszawie, zająć się interesami i gospodarstwem oczywiście przy pomocy rządcy fachowego rolnika, stopniowo wciągać w to gospodarstwo córki, specjalizując je w tak ważnych działach w majątku podmiejskim jak mleczarstwo i ogrodnictwo. Przy takiej bliskości Dziekanowa (półtorej godziny jazdy powozem) zupełnie prostą byłoby rzeczą utrzymywanie z nim stałej łączności, regularne dojeżdżanie, a z czasem po ukończeniu szkoły przez dzieci może wskazane byłoby przeniesienie się na stałe do Dziekanowa, przy zachowaniu w Warszawie niewielkiego mieszkania.

Dzięki takiemu urządzeniu córkom możnaby zapewnić niewielkie posagi, a co ważniejsze, – zdrowe warunki życia, produktywną pracę, wyraźną, korzystną pozycję społeczną, a to wszystko utorowałyby im drogę do odpowiedniego zamążpójścia.

Tymczasem osiadła w Krakowie, z którym absolutnie nic ją nie łączyło prócz grobu męża. I w tym obcym mieście pozycję swoją społeczną określiła jako... biednej wdowy. Jakby nie posiadała pięknego majątku ziemskiego, jakby się wstydziła tego posiadania. Traktowała go jedynie jak przedmiot nieustannych kłopotów, jako kulę u nogi. Charakterystyczny szczegół: pierwsze wielkie wakacje

po śmierci Ojca spędziła z nami na wsi u dalekiej kuzynki, a nie u siebie w Dziekanowie. Najstarszą Zofię zapisała do seminarium nauczycielskiego. Przy ówczesnych pojęciach, jakie panowały w naszej sferze, było to zdeklasowanie dziewczyny. Dwie młodsze kontynuowały naukę na kursach im. Baranieckiego, które dawały ogólne powierzchowne wykształcenie, ale nie przygotowywały do praktycznego życia.

A tam w Dziekanowie dokonywała się rzecz decydującej wagi dla przyszłości: wyręb i sprzedaż lasu. Robił to rządca pod fikcyjnym nadzorem stryja Matki, właściciela sąsiedniego majątku, mającego niewątpliwie osobiste plany na Dziekanów. Czy można było wierzyć w uczciwość tej roboty..?

Bardzo prędko zorientowałem się w absurdalności tego stanu rzeczy i zacząłem nalegać na Matkę, zaklinać ją, by porzuciła Kraków i przenieśli się do Warszawy. Z tej racji dochodziło między nami do przykrych scen.

Po kilku latach powróciła wreszcie do Warszawy, ale i wtedy nie uczyniła z Dziekanowa podstawy egzystencji materialnej rodziny, a dla córek warsztatu pracy. Może zresztą było już wtedy za późno. Zajmowała się interesami tyle ile narzucała się tego konieczność – z musu, z odrazą. Dziekanów pozostawał na łasce wciąż zmieniających się rządców, gospodarstwo podupadało, coraz trudniej było wiązać koniec z końcem. Trzeba było w końcu przystąpić do parcelacji. Pieniądze z niej ratami wpływające rozłaziły się. Nic w końcu nie pozostało. Majątek zmarnowany.

Główną treścią życia Matki i starszych sióstr po osiedleniu się w Warszawie były stosunki towarzyskie bardzo rozległe zwłaszcza z niezmiernie liczną rodziną Matki. Zofia była ładna, dużo miała wdzięku, podobała się. Wcześniej zaręczyła się, ale te zaręczyny po pewnym czasie rozchwiały się. Po nich następowały inne. I te się rozbiły. Z tego powodu panował w domu nastrój stałego nerwowego napięcia, niepokoju. Toczyły się pomiędzy nią a Matką nie kończące się często do późnej nocy przeciągające się rozmowy przeplatane płaczami. Atmosfera domowa była przesycona sentymentalizmem i egzaltacją. Zarażała ona i inne córki. I one miały podobne przeżycia i doznawały tych samych zawodów.

Matka była całkowicie oddana dzieciom. Ale uwaga jej była skoncentrowana całkowicie na ich zdrowiu fizycznym. Mierzenie temperatury było stale na porządku dziennym. Wciąż byli wzywani lekarze. Utało się w opinii przekonanie, że Kasznicówny są słabowite, chorobliwie nerwowe. Starający się czy nawet już narzeczeni zorientowawszy się w atmosferze tego domu zrażali się i pod wpływem własnych rodzin odsuwali się. A że przy tym pozycja ich społeczna nie była jasno określona – a to w owych przedwojennych czasach miało wielkie znaczenie – i nie miały posagu, więc żadna z nich nie wyszła za mąż.

Matka zmarła w 1911 w Warszawie. Zgodnie z Jej życzeniem przewiozłem ciało Jej do Krakowa i pochowałem w grobie Ojca.

Dzieci Józefa Kasznicy:

Zofia (1870–1925). Wykształciła się doskonale w języku francuskim i uczyła go jako nauczycielka prywatna. Uczniów swoich i uczennice otaczała serdeczną opieką, utrzymywała z nimi trwałe stosunek. Wogóle miała wiele serca dla ludzi: niezmiernie miłosierna gotowa była ostatnią szmatką czy kęsem podzielić się z potrzebującymi.

Maria (1872–1939). Ukończyła konserwatorium muzyczne w Warszawie, była nauczycielką muzyki.

Paulina (1872–1956), bliźnia siostra Marii. Miała za młodu zmysł praktyczny i realne podejście do życia. Chętnie przebywała w Dziekanowie instersowała się gospodarstwem. Prowadziła gospodarstwo domowe już na życia Matki, a po Jej śmierci siostrą. Została urzędniczką w Zarządzie Miejskim w Warszawie. Po przeniesieniu jej w stan spoczynku zabrałem ją do siebie w 1929 i odtąd stała do końca życia u nas przebywała.

Izabela (1876–1915). W szkole zapowiadała się jako wybitna zdolność. Zapisła się na wydział filozoficzny, Studium Historyczne Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nie ukończyła powodu długiej choroby na którą w końcu zmarła. Wiele w niej było entuzjasmów, szlachetnych porywów, miłosierdzia, ofiarności.

Kazimierz (1879–1925). Pierwsze lata szkolne w Krakowie. Po przeniesieniu się Matki do Warszawy – V Gimnazjum Warszawskie. Szkoła rosyjska fatalny wywarła na niego wpływ. Zmuszony do uczenia się z podręczników zniekształcających i zniesławiających historię Polski i do wypowiedzania tych kłamstw na lekcjach przeżywał to tragicznie. Po ukończeniu wydziału prawnego krótki czas pełnił obowiązki Sędziego gminnego z nominacji a następnie został notariuszem w Ciechanowie. W czasie I-jej okupacji niemieckiej 1915–1918 był Dyrektorem prywatnego gimnazjum polskiego w Ciechanowie założonego z jego inicjatywy i jego staraniem. Sam wykładał w nim Historię, która była umiłowanym przedmiotem jego studiów. W okresie Niepodległości był Radcą Prokuraturii Generalnej a następnie prokuratorem w wydziale cywilnym Sądu Najwyższego. Zginął 3-go sierpnia w Tatrach wskutek niebywałej burzy lodowatej.

Prawy, prostolinijny, na wskroś uczciwy, rzetelny, obowiązkowy, głęboko religijny. Zamknięty w sobie.

Po śmierci jego warszawska „Gazeta Sądowa” pomieściła dłuższe o nim wspomnienie zawierające trafną jego charakterystykę jako prawnika-sędziego, obywatela i człowieka.

Ożeniony z Walerią Dzierzbicką, córką ziemianina, dyrektora Towarzystwa Ubezpieczeń Rolniczych a w czasie I-jej okupacji niemieckiej – ministra rolnictwa w gabinecie Kucharzewskiego w 1918.

Było to małżeństwo poprawne, napozór szczęśliwe. W istocie rzeczy nie była to żona jakiej on potrzebował. Spełniała sumiennie obowiązki rodzinne, pomagała mu nieraz w pracy.

Pierwsze ich dziecko zmarło w wieku niemowlęcym. Drugi syn Wacław zginął razem z ojcem w tej katastrofie. Obaj pochowani w Zakopanem. Ona umarła w kilka lat potem.

Stanisław urodzony w 23 II 1874 w Warszawie³.

Pierwsze dwie klasy gimnazjalne w szkole rosyjskiej w Warszawie. III-a we Lwowie. Następnie i matura (1893) w Krakowie w gimnazjum św. Anny. Po pierwszym semestrze spędzonym we Lwowie na studium chemicznym postanowiłem przenieść się do Warszawy. Władze rosyjskie uznały moją maturę krakowską z warunkiem złożenia egzaminu z języka, literatury i historii rosyjskiej. Pojechałem do Kijowa do znajomego studenta Polaka-sybiraka, w ciągu paru miesięcy obcowania z jego kolegami Rosjanami nabrałem biegłości w języku rosyjskim, w mowie i piśmie. Potem wróciwszy do kraju osiadłem w Dziekanowie i przy pomocy korepetytora studenta-Rosjanina uczyłem się literatury i historii rosyjskiej. W jesieni 1894 zdałem egzamin na Uniwersytecie Warszawskim z tych przedmiotów i zapisałem się na wydział medyczny. Wnet jednak przekonałem się, że studium to nie odpowiada mi i począwszy od roku 1895/6 uczęszczałem na wydział prawny, zdając doroczne egzamina.

Na drugim roku prawa przyjętym zostałem do redakcji „Gazety Polskiej” w której trzy razy na tydzień drukowano moje artykuły z dziedziny polityki zagranicznej. Za dobrym honorarium przetłumaczyłem z rosyjskiego na polski część dzieła Jana Blocha p.t. *Przyszła wojna*. W tym samym czasie koledzy z mego kursu wybrali mnie do zarządu „Bratniej Pomocy”, organizacji nie uznanej wprawdzie ale tolerowanej przez władze.

Na III roku wstąpiłem do tajnej organizacji „Oświata Narodowa”, mającej na celu krzewienie oświaty wśród ludu, unarodowienie i uobywatelnienie chłopów. Głównym naszym zadaniem było przemycanie przez granicę i kolportowanie tygodnika „Polak” redagowanego w Krakowie. W lecie 1898 nastąpiła „wsypa” wskutek zdrady przemytnika i nieostrożności kolegi przejmującego od niego transport; miał on przy sobie spis członków organizacji. Wszystkich więc nas kolejno wyłowiono. Ja zostałem aresztowany w połowie października 1898 i po kilku dniach pobytu na Pawiaku przewieziony do Cytadeli, do X-go pawilonu. Już po dwóch miesiącach wskutek energicznych starań mojej rodziny i życzliwych a możliwych ludzi zostałem zwolniony za wysoką kaucją pod pozorem ciężkiej choroby i internowany w Warszawie z prawem dojeżdżania do Dziekanowa. Po zwolnieniu nie byłem już ani razu przesłuchiwany. Po dwóch latach wskutek dalszych usilnych zabiegów sprawa została w stosunku do mnie umorzona i kaucja zwrócona. Przez te dwa lata zajmowałem się głównie interesami Dziekanowa, jego parcelacji.

W chwili aresztowania rozpoczynałem IV rok studiów. Po umorzeniu sprawy nie pozwolono mi zapisać się na ten rok lecz dopuszczono do egzaminu z tego roku w normalnym letnim terminie. Równocześnie unieważniono mi egzamina złożone w poprzednich latach i kazano mi je powtórzyć w tym samym terminie.

Zamknąłem się tedy na wsi z końcem roku 1900 i po półrocznej wytężonej pracy w lecie 1901 przystąpiłem do egzaminów. Profesorowie – obecnie wyłącznie już Rosjanie – potraktowali powtórzenie egzaminów jako formalność i bez pytania stawiali mi te stopnie, jakie otrzymałem w ubiegłych latach. Otrzymałem dyplom ukończenia studium prawnego, a po roku na podstawie pracy mojej: *Teoria państwa Stanisława Orzechowskiego* – stopień kandydata nauk prawnych.

Pozostając w Królestwie miałem możność pracy jedynie w dziennikarstwie lub też w jakiejś instytucji prywatnej. Adwokatura była dla mnie, jako obcego obywatela, zamknięta. (Obywatelstwo austriackie miałem po Ojcu. On zaś nigdy go nie stracił, w Rosji bowiem otrzymanie katedry uniwersyteckiej nie było uwarunkowane posiadaniem poddaństwa rosyjskiego). O przyjęciu poddaństwa rosyjskiego ani chwili nie myślałem. Zresztą nie udzielonoby go mi, jako politycznie nieprawomyślnemu.

Zdecydowałem się więc powrócić do Galicji, do Krakowa i nostryfikować mój dyplom. Nostryfikację otrzymałem na ciężkich warunkach. Absolutorium otrzymałem po przesłuchaniu jednego roku. W tym roku 1901/1902, kiedy byłem zapisany jako student brałem udział w seminarium prof. Bobrzyńskiego. Analizowaliśmy na nim ustawodawstwo normujące położenie mniejszości narodowych. Musiałem zdawać dwa egzaminy państwowe, a dla otrzymania stopnia doktora wszystkie trzy rigorosa.

Włączyłem się w życie młodzieży akademickiej, brałem w nim czynny, żywy udział. Wstąpiłem do „Związku Młodzieży Polskiej” („Zet”⁴), wszedłem do „Centralizacji” – organu naczelnego tego Związku a bezpośrednio przed tym przyjęty zostałem do „Ligi Narodowej”.

Liga Narodowa była tajną organizacją. Organ jej naczelny – Komitet Centralny – spadkobierca i kontynuator Rządu Narodowego 1862/3 – uzupełniał się w drodze kooptacji. Głównymi członkami K.C. byli: Roman Dmowski, Ludwik Popławski i Zygmunt Balicki. Emanacją i realizatorem ideologii i programu politycznego Ligi było Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne, organizujące się wtedy jawnie w zaborze austriackim, a tajnie w zaborze rosyjskim i pruskim. Za główne swoje zadanie uważała Liga wychowywanie młodzieży, kształtowanie jej umysłów i charakteru, przygotowywanie kadr stronnictwa. Zadanie to spełniała przy pomocy Związku Młodzieży Polskiej, który powstał i bujnie się rozkrzewił we wszystkich środowiskach młodzieży akademickiej w kraju i za granicą. Wychowywanie rozpoczynało się w jawnych stowarzyszeniach tam, gdzie one były dozwolone (w Krakowie była nim „Młodość”⁵), następnie w półjawnych grupach „koleżeńskich”, a wreszcie w kołach „braterskich”, do których przyjmowano najaktywniejsze najwartościowsze jednostki. Co rok odbywał się zjazd delegatów wszystkich środowisk. Składano na rok sprawozdanie z działalności w ubiegłym roku, wytyczano plan działania na rok następny i dokonywano wyboru organu kierowniczego całego Związku – „Centralizacji”. Zostawał nim Zarząd związkowy tego środowiska, którego działalność w ubiegłym roku uznana została przez zjazd za najwartościowszą. Ci członkowie „Centralizacji”, którzy dzięki osobistym kwalifikacjom faktycznie kierowali nią,

byli przyjmowani do Ligi, przez nich więc ona kierowała działalnością Związku.
– W roku 1902 „Centralizację” oddano w ręce środowiska krakowskiego.

Związało się nas kilku starszych, absolwentów i doktorantów z różnych wydziałów, węzłem przyjaźni, aby wspierać się wzajemnie w dochowywaniu się, wyrabianiu charakteru, przygotowywaniu się do przyszłej służby dla Ojczyzny. Nie łączyliśmy się z żadnym programem politycznym. Grupa przyjęła nic nie mówiącą nazwę „Studium”, była ekskluzywna, nowi członkowie byli przyjmowani po parokrotnym balocie, liczba ich doszła zaledwie do kilkunastu. Po rozjechaniu się naszym, grupa jako taka przestała istnieć, ale przyjaźń między nami przetrwała do końca życia każdego z nas.

Ten intensywny udział w życiu akademickim odciągał mnie od pracy egzaminacyjnej. Prowadziłem ją niesystematycznie, z niechęcią. Ciężała mi myśl, że mimo dobiegającej już trzydziestki nie zarabiam na własne utrzymanie, żyję z resztek dziekanowskich. Postanowiłem więc wrócić do dziennikarstwa. Pojechałem do Warszawy i objąłem własne opróżnione stanowisko sekretarza redakcji „Gazety Polskiej” (1903). Redaktor i właściciel „Gazety”, Jan Gadomski zaprosił mnie równocześnie do grona recenzentów kwalifikujących prace nadsyłane do „Biblioteki Dzieł Wyborowych” wydawanej przy „Gazecie”. Uzyskałem pełną samowystarczalność materialną. Ta decyzja moja przyjęta została z niezadowolaniem przez rodzinę. Józef Jaworski usilnie mnie namawiał do kończenia uniwersytetu krakowskiego i ofiarował mi się z pomocą materialną do czasu uzyskania doktoratu. Uległem tym namowom, przyjąłem tę pomoc i w jesieni 1903 wyjechałem do Szwajcarii, do Zurichu, aby radykalnie się odciąć od dotychczasowych stosunków. Tam przygotowałem się do pozostałych egzaminów i powróciwszy do kraju na wiosnę 1904 zdałem je. Po promocji doktorskiej udałem się natychmiast do Lwowa i zgłosiłem się do służby w Namiestnictwie, do której przyjęcie miałem już zapewnione. Po kilku miesiącach pracy w departamencie przemysłowym przeniesiony zostałem do Rady Szkolnej Krajowej.

R.S.K. była najwyższą magistraturą w zakresie szkolnictwa powszechnego. Członkowie jej byli częściowo wybierani przez Sejm częściowo mianowani przez Rząd. Przewodniczącym był Namiestnik. Stale zastępował go Viceprezydent mianowany przez cesarza. Uchwały jej zapadały kolegiąlnie. Przygotowywali je i wykonywali urzędnicy. Własnego personelu urzędniczego R.S.K. nie posiadała, lecz posługiwała się urzędnikami Namiestnictwa przydzielonymi do niej.

W 1905 otrzymałem stypendium Akademii Umiejętności w Krakowie i za urlopem bezpłatnym wyjechałem do Heidelbergu, gdzie zapisałem się do seminarium prof. Jerzego Jellinka. Zgłosiłem tam pracę o ustawodawstwie normującym położenie mniejszości narodowych. W końcu wiosny 1906 zostałem wezwany przez siostry do Warszawy, do Matki zdawało się umierającej. Wyzdrowiała jednak i na dalszą kurację wyjechała do Nałęczowa. I ja się tam udałem i zamieszkałem w willi „Marii” Małewskich, z których najstarszym synem Bronisła-

wem kolegowałem się na Uniwersytecie Warszawskim. Po trzech tygodniach zaręczyłem się z najstarszą córką Malewskich Amelią.

Zamierzałem po ślubie powrócić do Lwowa do służby w Namiestnictwie. Niespodziewanie jednak zwrócił się do mnie Ludwik Popławski z propozycją objęcia redakcji „Dziennika Wileńskiego”, pierwszego od kilkudziesięciu lat czasopisma polskiego wydawanego w Wilnie. Udałem się do Lwowa by prosić namiestnika Andrzeja Potockiego o wyrażenie zgody na ten projekt i udzielenie mi w tym celu dalszego urlopu. Zgodził się bez zastrzeżeń, przy czym oświadczył: „Jeśli próba nie powiedzie się, niech Pan wraca tutaj, czeka na Pana biurko w Radzie Szkolnej.”

Próba istotnie nie udała się. Niezmiernie trudno było redagować dziennik na terenie zupełnie mi obcym – brakowało mi ludzi zaznajomionych z techniką dziennikarską, a ci których zastałem nie umieli nawet prawidłowo pisać po polsku – pismo nie miało podstaw finansowych. Po kilku więc tygodniach borykania się z trudnościami zrezygnowałem. Redakcję po mnie objął Józef Hłasko człowiek miejscowy, zamożny ziemianin.

W październiku 1906 pobraliśmy się w Nałęczowie, po czym zimę spędziliśmy w Krakowie na Salwatorze – wówczas szczerzej wsi, obecnie willowej dzielnicy miasta. Przygotowywałem się do egzaminu praktycznego urzędniczego warunkującego posuwanie się po szczeblach kariery urzędniczej. Na wiosnę 1907 przenieśliśmy się do Lwowa na stałe. Wnet po przyjeździe zdałem ten egzamin – ostatni wreszcie egzamin w życiu. Bezpośrednio potem prof. Pilat, zastępca Marszałka w Wydziale Krajowym zaproponował mi kierownictwo Krajowego Biura Statystycznego w Wydziale Krajowym. Zgodziłem się bez wahania.

Wydział Krajowy był naczelną władzą administracyjną w zakresie spraw należących do autonomii kraju. Członków jego wybierał Sejm ze swego grona. Przewodniczył mu Marszałek Sejmu. Uchwały jego przygotowywał i wykonywał liczny personel urzędniczy przez niego mianowany i od niego wyłącznie zależny. Pozostawał on w „służbie krajowej” odrębnej od „służby państwowej” podporządkowanej wiedeńskim władzom centralnym.

Pracowników biura angażowałem spośród studentów prawa. Traktowałem ich jako stypendystów. Zobowiązywali się wobec mnie do złożenia egzaminów uniwersyteckich w określonych w porozumieniu ze mną terminach pod rygorem zwolnienia w razie niedotrzymania terminu bez usprawiedliwionego powodu. Przez kilka tygodni bezpośrednio poprzedzających termin egzaminu pozwalałem im zajmować się w biurze wyłącznie pracą egzaminacyjną.

Nawiązałem bliskie stosunki z „Zet-owcami” lwowskimi, obecnie czynnymi w życiu publicznym a skupionymi przeważnie przy Radzie Narodowej, instytucji społecznej mającej na celu obronę interesów naszych narodowych w tej części kraju. Z inicjatywy mojej i pod moim kierownictwem powstało przy tej Radzie „Biuro ruskie” powołane do systematycznego badania stosunków panujących w łonie społeczeństwa ruskiego.

Założyłem „Klub dyskusyjny”. Zadaniem jego było skupić młodą lwowską elitę urzędniczą, „odaustriaczyć” ją, przyuczyć ją do oceniania zjawisk politycznych pod kątem widzenia polskiej racji stanu. Przyjmowanie do klubu odbywało się na podstawie balotu. Zbieraliśmy się regularnie, referaty były starannie opracowane, dyskusje żywe. Po jakimś czasie ubiegano się o przyjęcie do Klubu.

Nie godząc się z linią polityczną stronnictwa narodowo-demokratycznego w Dumie petersburskiej znaczna część nas „Zet-owców” wystąpiła ze stronnictwa. Założyliśmy własny tygodnik „Rzeczpospolita” redagowany przez Stanisława Strońskiego. Dzięki temu weszliśmy w życie polityczne kraju z odrębnym, własnym obliczem jako grupa „Rzeczypospolitej”. Zachowaliśmy jednak z ND-cją przyjazne stosunki. Zacieśniły się one w czasie I-ej wojny, wspólną z nią mieliśmy bowiem orientację antyniemiecką a w konsekwencji antyaustriacką.

Zostałem kooptowany na członka Rady Ordynackiej Ordynacji Dzieduszyckich. Zadaniem jej było czuwanie nad nienaruszalnością substancji majątkowej ordynacji i nad osiągnięciem głównego jej celu – utrzymania i rozwoju Muzeum Przyrodniczego we Lwowie.

Z dniem 1.I.1912 zostałem mianowany profesorem zwyczajnym nauk społecznych w Krajowej Akademii Rolniczej w Dublanach pod Lwowem. Profesorowie otrzymywali mieszkanie służbowe w Dublanach w osobnych willach. Przeniosłem się więc tam z rodziną. (1908 urodził się nam pierwszy syn Stanisław, w 1912 – drugi Jan).

Objąłem przewodnictwo dublańskiego koła Towarzystwa Szkoły Ludowej. Za najważniejsze zadanie Koła uważaliśmy tworzenie domów ludowych. Taki dom zbudowaliśmy w Prusach, czysto polskiej wsi w pobliżu Dublan.

W lecie 1913 zostałem wybrany na posła do Sejmu Krajowego i powołany do jego prezydium jako sekretarz. Ówczesny Marszałek Adam Gołuchowski był niemal ślepy, musiałem więc orientować go i kierować nim w czasie posiedzeń sejmowych. – Wstąpiłem do Klubu Centrum. Głównym zadaniem Sejmu w tej kadencji była zmiana statutu krajowego a przede wszystkim ordynacji wyborczej w tym kierunku, by czyniąc zadość żądaniom Ukraińców zapewnić im silniejszą reprezentację w Sejmie. Na tym tle toczyła się od kilku lat zacięta walka, w której Ukraińcy posługiwali się najostrożniejszym środkiem – fizyczną obstrukcją na posiedzeniach Sejmu.

Uczestniczyłem w Komisji Kontytucyjnej jako przedstawiciel mego klubu. Współdziałałem w doprowadzeniu do ugody. Po uciążliwych rokowaniach została ona zawarta. Członkowie komisji konstytucyjnej zebraliśmy się pod przewodnictwem Marszałka w obecności naszych biskupów, metropolity Szeptyckiego i namiestnika w wielkiej sali posiedzeń Wydziału Krajowego i tu pod obrazem Matejki *Unia Lubelska* podpisaliśmy dokument ugodowy. Zdawało nam się, że dokonujemy czynu o znaczeniu historycznym. Wojna przekreśliła ten akt i zlikwidowała autonomię Galicji.

W grudniu 1913 Amelcia dostała krwotoku płucnego. Dla jej zdrowia spędzi-
liśmy całą wiosnę 1914 w Gries w Tyrolu i w Montreux nad jeziorem Genewskim,
dzieci zostawiając pod opieką jej matki w Naęczowie. Pojechaliśmy tam po
powrocie z zagranicy i tam nas zaskoczyła wieść o zamachu sarajewskim i o ul-
timum Austrii do Serbii. Ostatnim pociągiem zdążyliśmy powrócić do Dublan.
Gdybyśmy się spóźnili o jedną dobę, zostalibyśmy jako obywatele austriaccy
wywiezieni w głąb Rosji.

W sierpniu odbyło się w Krakowie zebranie Polskiego Koła Poselskiego
(składało się ono z postów–Polaków do parlamentu wiedeńskiego i do sejmu
galicyjskiego i stanowiło najwyższą reprezentację polityczną polską w zaborze
austriackim). Koło powołało do życia Naczelny Komitet Narodowy (N.K.N.) jako
nadbudowę polityczną nad tworzącymi się legionami. Miał on działać w dwóch
sekcjach: krakowskiej i lwowskiej. Położenie nasze jako wyznawców orientacji
antyniemieckiej było trudne. Nie mogliśmy jawnie występować przeciw akcji
ochotniczej na rzecz Austrii. Postanowiliśmy wejść do sekcji lwowskiej wraz
z ND-cją (prezesem został Tadeusz Cieński, a ja wiceprezesem) i przy jej pomocy
paraliżować tę akcję. Istotnie, wyprowadziliśmy ze wschodniej Galicji oddziały
ochotnicze „Sokoła” i „Drużyn Bartoszewych” i rozwiązaliśmy je w Limanowej.

Natychmiast po wybuchu wojny wysłałem Amelcię z dziećmi do Zakopanego
a sam stale przebywałem we Lwowie. Po klęsce Austriaków pod Kraśnikiem
wycofali się oni aż poza Tarnów. Dowiedziałem się wtedy, że profesorowie
Akademii z dyrektorem na czele z wyjątkiem dwóch tylko opuścili Dublany i wy-
jechali na zachód, że wszczyna się tam anarchia i rabunek. Zgłosiłem się do Wy-
działu Krajowego i otrzymałem od radcy Sawczyńskiego pełnomocnictwo do
zarządu Dublanami. (Wydział Krajowy przed wyjazdem członków swych na
zachód zlecił Sawczyńskiemu zastępstwo swych funkcji). Odtąd przez dziesięć
miesięcy okupacji rosyjskiej administrowałem Dublanami, uważając za zadanie
swoje zabezpieczenie wspaniałego majątku Akademii, uchronienie go przed zni-
szczeniem i rabunkiem a także zapewnienie licznemu personelowi służbowemu
utrzymania. Zadania te udało mi się spełnić.

Jeździłem często do Lwowa, gdzie brałem udział w działalności „Komitetu
Pomocy Ofiarom Wojny”. Oprócz celu wskazanego tą nazwą uważał on się za
reprezentanta społeczeństwa polskiego wobec okupanta. Z jego ramienia udałem
się w początku września do Warszawy samochodem, aby skłonić postów naszych
do Dumy i do Rady Państwa petersburskiej do przyjazdu do Lwowa dla nawiązania
kontaktu między nami a władzami okupacyjnymi – gen. gubernatorem Bobrzyń-
skim i jego zastępcą Połowcewym. Misja ta powiodła się. Jeszcze w tym miesiącu
przyjechała spora grupa naszych parlamentarzystów petersburskich i dzięki ich
pośrednictwu ułożył się pewien *modus vivendi* pomiędzy nami a okupantem.

Służąca nasza 60-kilkuletnia kobieta widząc przygnębienie moje z powodu
rozłąki z Amelcią, oświadczyła gotowość pójścia do Zakopanego z listem do niej.
Nie traktowałem tego zrazu poważnie, wobec jej nalegań jednak zgodziłem się.

W październiku wyruszyła piechotą z zaszytymi w suknię listami od ludzi we Lwowie do bliskich na zachodzie rozłączonych. Jak się później dowiedziałem, doszła do frontu, tu doczekała się nieznacznego jego przesunięcia na wschód wskutek czego dostała się na tamtą jego stronę i spokojnie doszła do Zakopanego. Po otrzymaniu mego listu Amelcia natychmiast pojechała do Budapesztu, tam wyrobiła sobie w poselstwie amerykańskim paszport do Bukaresztu (Rumunia jeszcze wtedy zachowała neutralność). Stąd 1 stycznia otrzymałem od niej depeszę z żądaniem przepustki wjazdowej. Po dwóch tygodniach była już z dziećmi w Dublanach.

Wiosną 1915 kilku nas z Komitetu pojechało do Kijowa na kontrakty. Panowała wtedy na Ukrainie nadzwyczaj korzystna koniunktura gospodarcza. Na wielkim zebraniu w Klubie polskim przedstawiliśmy ciężkie położenie społeczeństwa naszego pod okupacją. Posypały się ofiary. Przywieźliśmy koło miliona rubli.

W maju klęska Rosjan pod Gorlicami, w konsekwencji załamanie i cofnięcie frontu daleko na wschód. Niemal wszyscy członkowie Komitetu wywędrowali do Rosji w obawie przed represjami powracających władz austriackich. Postanowiłem pozostać. Nie chciałem narażać nas na ponowną rozłąkę albo tułaczkę na obczyźnie. Bezpośrednio jednak przed wejściem armii austriackiej do Lwowa schroniłem się do klasztoru Franciszkanów i przeczekałem tam kilka dni, dopóki działały w mieście doraźne sądy polowe i nie zaczął funkcjonować wojskowy sąd garnizonowy, poczym wróciłem do Dublan. Po dziesięciu dniach zostałem areztowany i umieszczony w więzieniu na Zamarstynowie niestychanie po okupantach zapluskwionym. Przesłuchiwał mnie kapitan -audytor Walloner. Oskarżony byłem o zdradę stanu, o porozumiewanie się z wrogiem, o współdziałanie w rozwiązaniu oddziałów ochotniczych. Okazał mi broszurę prof. Kota p.t. *Pod sąd*, w której obok kilku innych osób byłem wymieniony jako zdrajca sprawy narodowej. Zachowywał się brutalnie, ja mu odpowiadałem gwałtownie. Twierdziłem, że Komitet zajmował się wyłącznie niesieniem pomocy ofiarom wojny, a rozmowy polityczne z władzami rosyjskimi prowadził jedynie Grabski – co zresztą było zgodne z prawdą. Mogłem go obciążać, bo wyjechał do Rosji. W pewnej chwili gdy Walloner wyszedł z kancelarii zerwał się protokolant siedzący do nas tyłem, przedstawił mi się (zmobilizowany adwokat lwowski, nazwiska, zdaje mi się, Link) i zapewnił, że czuwa, preparuje moje zeznania w ten sposób, by się w nich nie znalazło nic, co by mnie mogło skompromitować.

Po kilkunastu dniach Walloner nagle zmienił ton: traktował z grzecznością, częstował cygarami. A wnet potem zostałem zwolniony, sprawa umorzona. Co się okazało? W mojej sprawie interweniowali u cesarza abp. Teodorowicz, bp. Sapieha i brat jego Roman, skoliigacony z domem cesarskim przez żonę z domu Windischgraetz. W wyniku tej interwencji przysłała z kancelarii cywilnej cesarskiej do sądu depesza z poleceniem: „Bericht erstatten”. To wystarczyło: sąd uznał to polecenie za równoznaczne z rozkazem uwolnienia mnie.

Życie w Dublanach wróciło w normalne koleje i toczyło się po nich spokojnie przez następne trzy lata wojny. Zjechali się studenci choć w znacznie mniejszej liczbie. Wznowiliśmy wykłady, zajęcia w pracowniach.

Jeździłem często do Lwowa, gdzie na poufnych zebraniach przyjaciół politycznych dzieliliśmy się wiadomościami z frontów i o wydarzeniach politycznych w kraju, zwłaszcza w Warszawie, krzepiliśmy się nadzieją rychłego końca wojny i nieuchronnej klęski Niemców. Czuliśmy się otoczeni atmosferą nieufności a nawet niechęci. Społeczeństwo galicyjskie w ogromnej większości niezachwianie wierzyło w potęgę Niemców i w konieczność ich zwycięstwa, a poza tym poczuwało się do obowiązku lojalności wobec Austrii.

Wiosną 1918 otworzyła się możliwość działalności politycznej. W maju uczestniczyłem w zebraniu Polskiego Koła Parlamentarnego w sali Rady Miejskiej w Krakowie, na którym proklamowano zjednoczenie i niepodległość Polski. Zebrany na ulicy przed gmachem Rady tłum cenzurował wchodzących i wychodzących posłów ze względu na ich zachowanie w czasie wojny.

W tymże miesiącu jako członek nielicznej delegacji polskiej pod przewodnictwem Witosa jeździłem do Pragi czeskiej na „Zjazd Narodów Uciśnionych” zwołany pod płaszczykiem jubileuszu „Narodnego Divadla”. Brali w nim udział oprócz nas i Czechów delegaci Słowaków, Serbów, Chorwatów, Słoweńców, Włochów. Brakowało tylko reprezentantów Ukraińców. Przyjmowano nas z ostentacyjną serdecznością i pompą. Każdy z nas otrzymał luksusowy apartament w pierwszorzędnym hotelu i był żywiony na koszt gospodarzy. W czasie wycieczki statkiem po Wełtawie nieprzejrzone tłumy zebrane na wybrzeżu i rojące się na łódkach wiwatowały bez końca na naszą cześć. Poza oficjalnymi zebraniem i bankietami odbywały się poufne zebrania w wspaniałej willi Kramarza. Porozumiewaliśmy się przeważnie w języku niemieckim, jako „interslavische Sprache”. Jeździłem do Lublina i dwukrotnie do Warszawy dla porozumienia się z przyjaciółmi i zorientowania się w sytuacji. Kiedy w końcu października za drugim razem wracałem przez Kraków, właśnie komendant miasta przekazywał nam władzę w ręce Skarbka.

1 listopada Ukraińcy otrzymawszy klucze od arsenałów od władz austriackich, zajęli większą część Lwowa. Rozpoczęła się wojna polsko-ukraińska.

Postanowiliśmy – profesorowie i studenci – bronić się, utworzyć z Dublan przyczółek walczącego Lwowa. Powołano mnie na organizatora i kierownika obrony. Dowództwo powierzyłem kapitanowi rezerwy Janickiemu, studentowi. Mieliliśmy dostateczną ilość karabinów i amunicji. Dałem wolną rękę tym studentom, którzy nie chcieli walczyć. Zaledwie dwóch czy trzech opuściło Dublany. Wraz z kilkoma kolegami zgłosiłem się do służby i brałem udział w patrolowaniu. Jedyne raz wtedy w życiu miałem w rękę karabin.

Ze Lwowa dochodziły nas wieści skąpe i mętne. Postanowiłem więc przedostać się tam. Od naszej strony miasto było zajęte przez Ukraińców. W towarzystwie jednego studenta okrążyłem je ogromnym łukiem poprzez lasy, spotykając po

drodze żołnierzy austriackich maruderów ciągnących na zachód. Po kilku dniach pobytu we Lwowie, w czasie których uczestniczyłem w obradach Komitetu Obrony, powróciłem tą samą drogą do Dublan przynosząc otuchę i pokrzepienie.

20 listopada po nadejściu posiłków z zachodu Lwów został oswobodzony. Bezpośrednio potem nastąpiły ataki na Dublany od północy. Sytuacja stała się groźna. Pojechałem do Lwowa po posiłki. Wybłągałem oddział z kilkudziesięciu żołnierzy i razem z nimi przybyłem do Dublan. Oddział rozwinął się w tyralierę. Atak został odparty. Już się więcej nie powtórzył. Życie zdawało się wracać do normalnego trybu. Postanowiliśmy wznowić naukę w Akademii. W chwili kiedy to uchwaliliśmy na posiedzeniu Rady Profesorów – usłyszeliśmy świst szrapneli i wybuchy pocisków na terenie szkoły. Rozbiegliśmy się jak stado wróbli. Kanonada wnet ustała, ale dłuższy czas byliśmy ostrzeliwani z karabinów maszynowych.

Nazajutrz odwiozłem Amelcię z dziećmi do Lwowa a sam powróciłem do Dublan, by zabrać co się da rzeczy. Dano mi z folwarku duży drabiniasty wóz. W czasie ładowania go rozpoczęła się znowu kanonada. Pociski padały jednak na szczęście o kilkaset kroków od naszego domu. Z największym wysiłkiem w ogromnym śniegu dopchaliśmy się do szosy i szczęśliwie dojechaliśmy do Lwowa.

Sytuacja aprowizacyjna miasta była fatalna; brakowało opału, światła, mowy nie było o dostaniu mleka dla dzieci. Po dwóch więc dniach wyjechaliśmy do Nałęczowa.

W 1922 otrzymałem zawiadomienie, że na wniosek oddziału dublańskiego nadany mi został Krzyż Walecznych za udział w obronie Dublan i Lwowa. Legitymacja wystawiona na imię „szeregowca Kaszniczy”. Jest to jedyne odznaczenie jakie otrzymałem w ciągu mego życia.

Blisko pół roku nie ruszałem się z Nałęczowa głównie z powodu fatalnie jeszcze funkcjonującej komunikacji kolejowej. W tym czasie otrzymałem dwie propozycje pracy w Warszawie: od Biura Prac Kongresowych, drugą od Komisji Związków Ziemiańskich, obie w referacie statystycznym. Odmówiłem.

W końcu maja zakończyła się wojna z Ukraińcami. Natychmiast pojechałem do Lwowa i do Dublan. Mieszkanie zastałem rozgrabione. Akademia została włączona do Politechniki Lwowskiej jako wydział rolniczy. Postanowiłem zamieszkać we Lwowie i dojeżdżać do Dublan. Wynająłem mieszkanie we Lwowie i przewiozłem do niego wszystkie pozostałe graty. Amelcię z dziećmi zamierzałem sprowadzić dopiero z końcem lata po jakim takim urządzeniu się.

I oto niepodziewanie otrzymałem wezwanie od Wojciechowskiego, ministra spraw wewnętrznych. Zaproponował mi objęcie stanowiska szefa sekcji administracyjnej w ministerstwie. (Termin „sekcja” był zapożyczony z wiedeńskiej terminologii; zastąpiony został niebawem nazwą „departament” na wzór francuski). Zgodziłem się bez chwili wahania. Postawiłem jeden tylko warunek: dostarczenie mi mieszkania, o które już wtedy bardzo trudno było w Warszawie. Otrzymałem je po wyrzuceniu z niego domu publicznego. Ściągnąłem graty ze

Lwowa, sprowadziłem Amelcię z dziećmi do Warszawy i 15 sierpnia objąłem urzędowanie.

Trwało ono cztery i pół miesiąca. Oto najważniejsze prace dokonane w tym czasie przez kierowaną przeze mnie sekcję: ustawa o inkorporacji ziem zachodnich (b. dzielnicy pruskiej) do państwa, ustawa o organizacji władz administracji II instancji (województw) a łącznie z tym reorganizacja władz I instancji (starostw), współudział w opracowaniu przez sekcję policyjną ustawy o organizacji policji państwowej, weryfikacja starostów (należało usunąć ludzi nie posiadających żadnych kwalifikacji, wprowadzonych przez Thugutta poprzednika Wojciechowskiego, a na ich miejsce mianować ludzi należycie wykwalifikowanych). Uczestniczyłem w Komitecie Obrony Państwa, powołanym do zwalczania anarchii tu i ówdzie jeszcze przejawiającej się. Akt powołujący go do życia nie był publikowany. Zasiadali w Komitecie prócz mnie szef sekcji policyjnej, komendant główny policji, przedstawiciele wojska i II oddziału. Przewodniczył M.S.W. Wojciechowski, obdarzał mnie absolutnym zaufaniem. Pozostawił mi wolną rękę przy obsadzaniu sekcji (kierownictwo wydziału personalnego powierzyłem Kąckiemu, a organizacyjnego Sołtanowi, znalazłem w nich znakomitych współpracowników), wnioski moje nominacyjne na wojewodów i starostów akceptował, nie było wypadku, aby w czymkolwiek mnie dezawuował. Parokrotnie polecił mi referować sprawy na Radzie Ministrów. Na czas swego 10-dniowego urlopu powierzył mi kierownictwo ministerstwa, z pominięciem wiceministra Beka (ojca późniejszego ministra spraw zagranicznych), któremu z urzędu należało się to zastępstwo. Wobec takiego afrontu Bek wniósł na moje ręce rezygnację zgodnie z cichym życzeniem Wojciechowskiego, ten zamierzał bowiem proponować mnie na wiceministra, czego przede mną nie ukrywał.

Przychodziłem do biura o 8-iej, do południa naradzałem się z naczelnikami wydziałów i ew. z innymi urzędnikami w bieżących sprawach, poczym przyjmowałem interesantów i starostów, którzy przyjeżdżali ze sprawozdaniami i po instrukcje. (Ministerstwa były wtedy drugą i ostatnią instancją, nie było jeszcze województw). Sekretarz mój osobisty notował nazwisko każdego interesanta i krótką treść jego sprawy i pilnował, aby każda była jak najrychlej załatwiona. O ile tylko się dało, załatwiałem je odręcznie. Dwie godziny na obiad i wypoczynek w domu, poczym powracałem do biura: sam pracowałem, albo jeszcze narady z współpracownikami albo sesje urzędowe albo od czasu do czasu konferencje z Wojciechowskim, które przeciągały się do późnej godziny. Ministerstwo rozprządzało jednym samochodem, starym pudłem. Minister w takich wypadkach zwalniał szofera wracaliśmy na noc do domu dorożką jednokonną.

Urzędnicy byli obowiązani pracować do godziny 16-iej. Wielu jednak powracało i pracowało do późnego wieczoru. Panowała atmosfera rzetelnej, uczciwej, ofiarnej służby dla państwa budującego się w niezmiernie trudnych warunkach. Biura we wszystkich władzach niewyłączając gabinetów ministrów były urządzo-

ne ze skrajną prostotą: biurka, stoły, krzesła, regały... Uderzający kontrast z umeblowaniem luksusowych biur dygnitarzy za czasów sanacyjnych.

Pracowaliśmy wszyscy w bardzo trudnych warunkach życiowych. Wszystkiego brakowało. Chleb był jakąś mieszaniną czarną, wilgotną, kleistą. Pensja moja wynosiła 1000 marek miesięcznie a już się rozpoczynała inflacja. Klepaliliśmy biedę. Mieszkania naszego nie było czym umeblować. O kupnie nie mogło być mowy. Wypożyczono nam trochę sprzętów.

W czerwcu 1919 powstał nominalnie Uniwersytet Poznański. Organizowanie wydziału prawnego powierzono Peretjatkowiczowi. Zgłosił on się do mnie z propozycją objęcia katedry prawa administracyjnego. Znalazłem się na rozdrożu. Wszystkie argumenty rozumowe i uczuciowe przemawiały za Poznaniem, żał mi jednak było porzucać warsztat tak ważnej i tak doskonale rozwijającej się pracy. Zwlekałem z odpowiedzią. Przyjaciele moi polityczni zaoferowali mi drugą posadę o charakterze synekury z wynagrodzeniem równym mojej pensji aby tylko mnie zatrzymać w Warszawie. Oczywiście nie przyjąłem jej. Poznań wyznaczył mi w końcu ścisły termin dla dania odpowiedzi. Wówczas propozycję przyjąłem.

Wnet potem upadł gabinet Paderewskiego. Nowy rząd tworzył Skulski. Zwrócił się do mnie o objęcie teki ministra spraw wewnętrznych. Zgodziłem się. Nazajutrz przybył do mnie z wiadomością, że Witos nie zgadza się na moją kandydaturę, a wobec tego proponuje mi taką kombinację. On sam jako premier obejmie tę tekę, mnie jednak mianowanemu na podsekretarza stanu pozostawi całkowitą niezależność i swobodę działania. Odmówiłem bez chwili wahania, w takiej bowiem niejasnej sytuacji nie posiadałbym prawnej niezależności ani też nie ponosiłbym pełnej osobistej odpowiedzialności. Tak tedy z dniem 31 grudnia 1919 rozwiązany został mój stosunek z ministerstwem. W piśmie⁵ zwalniającym mnie Minister Wojciechowski żegnał mnie w tych słowach: „Niezmiernie żałuję, że powołanie Pana na nader doniosłego znaczenia dla Rzeczypospolitej katedrę administracji w Wszechnicy Piastowskiej pozbawia mnie Pańskiego cennego współpracownictwa. Działalność Pańską na stanowisku Szefa Sekcji Administracyjnej cechowała wysoka inteligencja, męska wytrwałość i obywatelska troska o pomyślność Państwa; uważam sobie przeto za miły obowiązek wyrazić Panu za tę działalność najszczerze podziękowanie”. Pożegnanie to tym bardziej sobie ceniłem, że pochodziło od człowieka niewylewnego, oschłego, a z przekonania – P.P.S-owca. Urzędnicy mojej sekcji żegnając mnie gremialnie wręczyli mi adres w ogromnie ciepłych słowach ujęty. Charakterystyczne dla owych czasów było, że adres był napisany na zwykłym, tylko nieco lepszym papierze, a jakiś amator-ryownik wymalował Orła naszego, Pogoń i św. Michała a pod tym herbem nie nazbyt udolnie wykaligrafował treść.

Od 1 stycznia 1920 jestem profesorem zwyczajnym administracji i prawa administracyjnego Uniwersytetu Poznańskiego.

Do Poznania pojechałem na razie sam. Amelcię z dziećmi sprowadziłem dopiero na wiosnę po znalezieniu mieszkania. Znaleźliśmy się w warunkach

życiowych nieporównanie lepszych aniżeli w Warszawie: pensja wyższa, ceny niższe, aprowizacja normalna.

Na rok akad. 1920/21 wybrany zostałem na dziekana naszego wydziału. Zadaniem moim było zorganizowanie biurowości, sekretariatu wydziałowego i współdziałanie w organizowaniu Uniwersytetu. Senat zlecił mi opracowanie statutu uniwersytetu w ramach ustawy o szkołach akademickich. Przeprowadziłem postanowienie, że cała administracja sprawami uniwersyteckimi będzie spoczywała w rękach „małego senatu” złożonego z rektora, prorektora i dziekanów. „Senat wielki” obejmujący także prodziekanów i delegatów wydziałów ma się zajmować wyłącznie sprawami o charakterze naukowym. Większość była temu przeciwna. Zgodę na proponowane przeze mnie urządzenie gwarantujące sprawność administracji uzyskałem za cenę ustępstwa z mojej strony: wbrew przekonaniu zgodziłem się na wybór rektora nie przez delegatów wydziałów, lecz przez ogólne zgromadzenie profesorów.

Dużo czasu mi pochłaniało i nie mało troski przysparzało przyjmowanie młodzieży zgłaszającej się w ciągu całego roku, decydowanie o zaliczeniu lat studiów. Większość miała je ogromnie powikłane, wskutek wojny nie mogła przedstawiać wymaganych dokumentów. Trzeba było strzec się dowolności, przestrzegać pewnych zasad ale jednocześnie jak najliberalniej uwzględniać mnóstwo indywidualnych niepowtarzalnych sytuacji.

Na wiosnę 1921 zachorowała Amelcia. Przez 9 miesięcy walczyliśmy wspólnie z Juraszem⁶ zaciekle o jej życie. Zmarła 13 grudnia 1921.

Kongres pokojowy w Wersalu upoważnił Radę Ambasadorów Mocarstw Głównych i Sprzymierzonych do ustalenia południowo-wschodniej naszej granicy państwowej. Anglicy upierali się zrazu przy linii Curzona (m.w. biegiem Bugu), w końcu jednak zgodzili się na dawną granicę austriacko-rosyjską na Zbruczu z tym jednak warunkiem, że Rusinom nadana będzie autonomia. Rząd opracował „statut autonomiczny” zawierający zasady samorządu wojewódzkiego dla całego państwa i ustanawiający kurie narodowościowe w województwach południowo-wschodnich. Sytuacja nasza na terenie międzynarodowym tak się umocniła, że mogliśmy być pewni, iż mocarstwa zachodnie nie będą badać treści statutu ani domagać się natychmiastowego wprowadzenia go w życie. Należało przeto bez zwłoki przeprowadzić projekt rządowy przez Sejm. Napotkał on jednak na sprzeciw i opór społeczeństwa polskiego w Galicji Wschodniej kierowanego przez narodową demokrację. Wyszło ono z głębokim urazem z wojny z Ukraińcami i domagało się prostej aneksji bez oglądania się na żądania mocarstw. Sytuacja rządu była trudna: nie uważał on za możliwe uchwalenie ustawy wbrew głosom posłów z tej dzielnicy. Zaprosił tedy na konferencję do Warszawy miarodajnych przedstawicieli tej dzielnicy. Bobrzyński, Löwenherz i ja zostaliśmy zaproszeni do udziału w niej jako „rzeczoznawcy”. Premierem był wówczas prof. Nowak, ministrem spraw zagranicznych Narutowicz, a wewnętrznym Kamiński. Wobec niepopularności Bobrzyńskiego liczyli przedewszystkim na mnie, jako znającego

tutejsze stosunki i cieszącego się mirem u tamtejszych ludzi. Zadaniem moim było przekonać ich o konieczności uznania międzynarodowego naszej granicy, pomóc w znalezieniu formuły, która byłaby do przyjęcia przez przeczulonych patriotów i nacjonalistów. Zadanie to udało mi się spełnić. Konferencja skończyła się zgodnie, Sejm uchwalił we wrześniu ustawę. Rada Ambasadorów aktem uroczystym przyznała Polsce Galicję Wschodnią, powołując się w motywach na przyznanie tej dzielnicy odrębnego stanowiska określonego w „statucie autonomicznym”. Postanowienia jego nie zostały niestety nigdy wprowadzone w życie.

Premier Nowak skierował do mnie pismo następującej treści:

„Nie mogę się powstrzymać, by nie złożyć Panu serdecznej podziękii za współpracownictwo w sprawie samorządu dla Małopolski Wschodniej. Przez to oddał Pan kwestii niezaczepialnej suwerenności Polski nad tą jej częścią wielką i niewątpliwą usługę a *votum* niemal całego Sejmu idące po linii naszej wspólnej pracy jest świetną i zaszczytną satysfakcją dla Panów, którzyście łaskawie raczyli na moją prośbę przyłożyć do tej sprawy rękę. – Panu, Czcigodny Panie Profesorze, jestem daleko więcej zobowiązany niż innym współpracownikom, bo Pan rozumną doradą skierował rzecz na tory, które zapewniły potem powodzenie w Sejmie. To też dziękuję najserdeczniej i łączę wyrazy głębokiego poważania i szacunku.”

W wyborach jesiennych 1922 wybrany zostałem na senatora Rzplitej z listy państwowej bloku narodowego. Zgłosiłem przynależność do stronnictwa chrześcijańsko-narodowego (Ch-N), którego rdzeń i sztab stanowiło prezydium b. klubu sejmowego „Centrum” i kierownictwo grupy „Rzeczypospolitej”. Zostałem wybrany na prezesa Zarządu stronnictwa i na wiceprezesa klubu senackiego CH-N. i w tym charakterze wszedłem do Rady Seniorów Senatu.

Poza działalnością polityczną, prowadzoną w ramach i z ramienia mego stronnictwa w okresie piastowania mandatu, brałem udział w szeregu prac o charakterze ogólnopaństwowym.

W styczniu 1923 na zaproszenie gen. Sikorskiego, który po zamachu na prezydenta Narutowicza kierował Rządem i objął tekę ministra spraw wewnętrznych, przewodniczyłem komisji reformy administracji. Wskutek rychłego ustąpienia nie dane było Sikorskiemu zrealizować naszych postulatów.

Dla tego samego celu powołał premier Aleksander Skrzyński t.zw. „Komisję Trzech”, w końcu roku 1925. Faktycznie była to komisja dwóch: Bobrzyński i ja. Trzeci bowiem członek, chrześcijański demokrat Smólski, powołany ze względów politycznych, z góry oświadczył, że nie uważa się za kompetentnego i aprobuje nasze postulaty.

Dla przyspieszenia i usprawnienia naszej pracy zamieszkaliśmy obaj w gmachu Prezydium Rady Ministrów. Mieliliśmy prawo wzywać i wzywaliśmy urzędników ministerialnych dla udzielania nam wyjaśnień i stawiania wniosków. Po czterdziestu dniach praca została ukończona w formie paru projektów ustaw i motywów do nich. Skrzyński aprobował je, polecił wydrukować i zamierzał przedło-

żyć je Sejmowi. Nie doszło do tego. Gabinet Skrzyńskiego upadł, a po zamachu majowym sanacja rzuciła w kął nasz projekt. Ślady naszych myśli odnajdywałem w niektórych za czasów jej rządów wydanych ustawach ogólnie administracyjnych.

Robota ta nie kosztowała Skarbu Państwa ani grosza poza chyba paroma szklankami herbaty z sucharkami, którymi Skrzyński nas częstował w czasie swych konferencji z nami. – Wieczory często spędzaliśmy z Bobrzyńskim w restauracji przy butelce węgierskiego na gawędzie. Niezmiernie pouczające dla mnie było to obcowanie swobodne z wybitnym umysłem i doświadczonym politykiem.

Samorząd terytorialny funkcjonował należycie jedynie w b. zaborze pruskim. W dwóch innych dzielnicach wegetował w ramach przestarzałych ustaw dzielnicowych: w Galicji obumarły, w Królestwie – nierozwinięty. Sejm nie umiał się zdobyć na uchwalenie jednolitej ogólnopaństwowej ustawy samorządowej, która pozwoliłaby mu odegrać w życiu Państwa taką rolę, jaką mu wyznaczyła Konstytucja 1921. Stała temu bowiem na przeszkodzie cała masa sprzecznych interesów politycznych, które się spiętrzały wokół tego zagadnienia.

Prezydent Wojciechowski bolał nad tym stanem rzeczy, postanowił tedy interweniować nieoficjalnie w tę sprawę i utorować drogę do porozumienia. W tym celu zaprosił do siebie, do Belwederu, kilkudziesięciu wybitnych samorządowców, praktyków i teoretyków z całego kraju, aby w swobodnej dyskusji, w atmosferze towarzyskiego spotkania zbliżyć do siebie stanowiska, znaleźć punkty styczne. Zwrócił się do mnie o pokierowanie tą dyskusją. Oczywiście życzenie jego spełniłem. Odbłyło się kilka zebrań w zimie 1924 w odstępach co dwa tygodnie: mozaika ludzi różnego poziomu umysłowego, wykształcenia, zabarwienia politycznego.

Sformułowałem szereg tez zasadniczych i kolejno poddawałem je pod dyskusję, pilnowałem, by nie zbaczano na manowce, nie gubiła się w drobiazgach, nie zaogniała się porachunkami partyjnymi i klasowymi. Na zakończenie zreasumowałem jej wyniki. Stwierdziłem punkty uzgodnione i rozbieżności. Tych drugich było więcej. Cały czas utrzymał się nastrój spokojny, przyjazny.

Czy nastąpiło zbliżenie? Czy sprawa posunęła się naprzód? Wątpię. Argumentowano mniej lub więcej udolnie argumentami rzeczowymi. Nie one jednak niestety decydowały, lecz raczej i interesy partyjne. Te zaś przemilczano albo z lekka tylko dotykano. Pazury pochowano.

„Statut organiczny” Śląska z 1920 roku był genetycznie tylko jednym ze środków propagandowych przed plebiscytem przeprowadzonym tam w owym roku. Miał on zjednać Ślązaków do Polski gwarantując im szeroką autonomię. Zredagowano go pospiesznie dosłownie na kolanie, podobno w pociągu idącym z Katowic do Warszawy. Trudno znaleźć ustawę gorzej od tej zredagowaną. W sejmie śląskim dojrzała myśl zmiany jej a właściwie zastąpienia nową. Wytyczną miało być mocniejsze związanie Śląska z Państwem, usunięcie przerostów samodzielności wyzyskiwanych przez Niemców.

Powołano komisję złożoną z przedstawicieli Sejmu śląskiego, Sejmu Rzplitej i Rządu dla opracowania projektu tej ustawy. Na zaproszenie Rządu objąłem jej przewodnictwo.

Praca szła zgodnie, składnie, szybko. W niedługim czasie projekt był gotów (1925). Przy jego opracowaniu kierowałem się myślą, aby mógł się stać wzorem dla ogólnopolskiej organizacji samorządu wojewódzkiego, aby był pierwszym krokiem na drodze ku niej.

Projekt nie został zrealizowany. Dla wprowadzenia go w życie trzeba było, aby Sejm Rzplitej i Sejm śląski uchwaliły równobrzmiące ustawy. Otóż po zamachu majowym większość Sejmu śląskiego odstąpiła od zamiaru zmiany Statutu organicznego, uważając go za skuteczny wał obronny w walce z piśsudczyzną. Korfanty, który przedtem całym swoim autorytetem popierał moją pracę, obecnie projekt gotowy odłożył *ad acta*.

W związku z powyższym zadaniem Sejm śląski zwrócił się do Prof. Starzyńskiego i do mnie jako do rzeczoznawców o opracowanie organizacji administracji województwa śląskiego. Była ona niezmiernie skomplikowana, splątana wskutek niejasnych, bałamutnych postanowień Statutu. Po wykonaniu tej roboty Sejm zwrócił się do nas o określenie wynagrodzenia za nią. Poinformowano mnie, że Ślązacy cenią tylko pracę, która solidnie jest zapłacona. Wystawiłem tedy rachunek. Była to jedyna praca, za którą zostałem zapłacony.

W roku 1924 Władysław Grabski jako premier i minister skarbu, równoległe z dążeniem do zmiany i ustabilizowania waluty i uzdrowienia życia gospodarczego wszczął akcję oszczędnościową polegającą głównie na obciążeniu przerostów personalnych w administracji. Utworzył w tym celu urząd Nadzwyczajnego Komisarza Oszczędnościowego, który powierzył Stanisławowi Moskalewskiemu, wojewodzie lubelskiemu. Miał on działać przy pomocy komisarzy resortowych, w opraciu o Radę Oszczędnościową, której przewodniczył. Zostałem mianowany członkiem tej Rady. Rola moja nie ograniczała się jednak do tej funkcji.

Moskalewski był człowiekiem zdolnym, byстрыm, energicznym, dobrym organizatorem, zręcznym politykiem. Brak mu było wykształcenia: był samoukiem. W zagadnieniach ogólnopolskich obracał się niepewnie. Łączył mnie z nim stosunek przyjacielski zawiązany w czasach zaborczych. Zwrócił się więc do mnie o pomoc i radę. Spotykałem się i współpracowałem z nim często.

W lecie 1924 zjawił się u mnie Łoś, naczelnik wydziału w M.S.Z. z pismem Aleksandra Skrzyńskiego, ministra spraw zagranicznych, następującej treści:

„Pozwalam sobie zwrócić się do W.S.P. Senatora ...z propozycją, aby zechciał przyjąć udział w pracach Delegacji Rządu na V Ogólne Zgromadzenie Ligi Narodów w charakterze Delegata do Komisji Prawniczej, która obok Komisji Rozbrojeniowej będzie w roku bieżącym najważniejsza spośród wszystkich sześciu wybieranych dorocznie przez plenum Ligi, a w której skład wchodzi zawsze wysoce poważane osobistości świata naukowego i politycznego. Przyjęcie przez Pana Senatora misji, którą mam zaszczyt Mu zaofiarować, byłoby w moim

największym przekonaniu gwarancją należytej obrony interesów Rzplitej na forum wspomnianej Komisji związanych z zagadnieniami pierwszorzędnej wagi... To też do łaskawej zgody Pana Senatora przywiązuję wielką wagę z punktu widzenia interesów Państwa...”. Odmówiłem mimo natarczywych nalegań Łosia. Wtedy otrzymałem depezę od Skrzyńskiego:

„Przywiązuję wielką wagę do fachowej współpracy Pana Senatora z uwagi na doniosłość spraw natury jurydycznej mających być przedmiotem badań Komisji Prawniczej Zgromadzenia L.N. Usilnie proszę o przyjęcie mandatu, oczekuję telegraficznej odpowiedzi”.

Odmówiłem z tej prostej przyczyny, że nie uważałem siebie za przygotowanego do tej funkcji. Skrzyński był członkiem stronnictwa konserwatywnego w którym najwyższym autorytetem był Bobrzyński. Należał też do niego Nówak. Opinia o mnie tych panów wyrobiona na podstawie współpracy ze mną zadecydowała o tym, że Skrzyński zwrócił się do mnie z tą propozycją.

Roman Dmowski będąc Ministrem Spraw Zagranicznych zaproponował mi, abym się udał do Rzymu jako pełnomocnik Rządu dla przeprowadzenia rokowań z Watykanem w sprawie konkordatu. I tej propozycji odmówiłem z tej samej przyczyny. Z biegiem jednak czasu utwierdziło się we mnie, jeśli nie przekonanie, to wyczucie, że nie miałem racji uchylając się od współpracy w tej sprawie.

Miałem w latach przed przewrotem majowym parokrotnie możliwość wejścia do Rządu jako ewentualnie minister sprawiedliwości. Uchylałem się od tego, uważając się za kompetentnego wyłącznie w resorcie spraw wewnętrznych. Prezydent Wojciechowski nie taił przede mną, że chciałby mi powierzyć tę tekę. Były to jednak plany nierealne. Nie mówiąc o lewicy, ludowcy Witosa, zajmujący w Sejmie centralną, kluczową pozycję nie godzili się na oddanie w moje ręce aparatu siły państwowej, uważali mnie bowiem za reakcjonistę a przytym człowieka silnej ręki.

Żadne stronnictwo ani żaden z często zmieniających się Rządów nie miał programu w sprawie ruskiej. W publicystyce pojawiały się tylko ogólnikowe wzajemnie zwalczające poglądy. Każdy wojewoda w województwach o ludności narodowo mieszanej prowadził politykę na własną rękę według swego widzimisie: jeden skrajnie liberalną, drugi silnej ręki w duchu nacjonalistycznym, a jeszcze inny żadnej wogóle, pozostawiając swobodę działania starostom. Panowała w tej sprawie absolutna chaotyczność, bezplanowość bezwład. Jeden Sołtan w czasie krótkiego swego urzędowania jako minister spraw wewnętrznych zdobył się na powołanie paroosobowej komisji programowej, do której mnie zaprosił. Odbyliśmy dwa czy trzy posiedzenia. Następca jego nie uważał za potrzebne kontynuować naszej pracy.

Jeszcze we Lwowie w latach poprzedzających wojnę sformułowałem dla siebie na piśmie program rozwiązania kwestii ruskiej. Założeniem jego było przyznanie Rusinom pełnej autonomii terytorialnej realizowanej stopniowo etapami w miarę dojrzewania obu społeczeństw – i polskiego i ruskiego – do realistycznego

myślenia politycznego. U końca tej ewolucji dopuszczałem możliwość powstania państwa ruskiego czy ukraińskiego związanej dobrowolną unią realną z państwem polskim. Sformułowałem „dla siebie”, gdyż opublikowanie programu tego w czasie, kiedy byliśmy nie podmiotem polityki lecz przedmiotem polityki państwa zaborczego, monarchii habsburskiej, byłoby nonsensem, a ponadto naraziłoby mnie na wykluczenie przez opinię z czynnego życia publicznego.

W 1924 uznałem chwilę za stosowną do wystąpienia z moją inicjatywą. Udałem się do Władysława Kiernika, ówczesnego ministra spraw wewnętrznych w gabinecie Witosy, zapoznałem go w istotnym zarysie z programem i zaproponowałem mu mianowanie mnie fachowym Podsekretarzem Stanu w ministerstwie dla sprawy ruskiej i powołanie do pomocy mi Komitetu doradczego nielicznego, starannie dobranego według klucza nie partyjnego lecz fachowego i politycznego wyrobienia. Zadaniem Podsekretarza przy współdziałaniu Komitetu byłoby opracowanie konkretnego, szczegółowego programu, realizowanie go przy pomocy projektów ustaw przedkładanych Sejmowi do uchwalenia i rozporządzeń ministerialnych, czuwanie nad tym, by władze terenowe postępowały jednolicie stosując się ściśle do norm regulujących stosunki mniejszości narodowych. Każdy minister, byłby zobowiązany uzgadniać z Podsekretarzem swe przedłożenia ustawowe, rozporządzenia i instrukcje dotyczące położenia prawnego mniejszości. (Analogia z uprawnieniami Ministra Galicji w Austrii). Równocześnie Podsekretarz dawałby impuls do szerokiej dyskusji prasowej na temat sprawy ruskiej i kierowałby nią i podsycił przy pomocy członków Komitetu.

Kiernik był ogromnie zaskoczony moją niezwykłą inicjatywą. Różmowa była długa. Uwierzył, że nie chce być w ministerstwie wtyczką polityczną dla kontrolowania jego działalności i że mam na celu jedynie dobro Państwa. Zrozumiał wagę sprawy, uznał projekt za celowy i wykonalny, oświadczył mi, że zwróci się do premiera o przyjęcie go. Za drugim spotkaniem zakomunikował mi, że Witos zgadza się na moją propozycję. Rzecz nie doszła jednak do skutku, gdyż gabinet upadł. Nie wznawiałem jej więcej.

Gdy doszła nas wiadomość o buncie Piłsudskiego i o orędziu Prezydenta Rzplitej wzywającym armię i społeczeństwo do złamania go, całe społeczeństwo wielkopolskie, wszystkie stronnictwa skupiły się przy Adolfie Bnińskim, wojewodzie poznańskim, wszystkie władze podporządkowały mu się. Na jego żądanie powstał przy nim Komitet polityczny złożony z przedstawicieli stronnictw po jednym z każdego. Ja reprezentowałem Ch.-Nów. Obradowaliśmy w permanencji.

Generał Sosnkowski, dowódca poznańskiego okręgu wojskowego, na wieść o zamachu targnął się na swoje życie. Zastępca jego gen. Hauser wysłał wojsko do Warszawy na pomoc rządowi. Kolejarze będący pod wpływem P.P.S. sparaliżowali ruch kolejowy. W pewnym punkcie wojsko zostało wyładowane i pieszo dażyło do Warszawy. Nie zdążyło na czas. Wojciechowski złożył urząd. Walki na ulicach Warszawy ustały. W imieniu Komitetu pojechałem do Warszawy aby nakłonić Rataja, marszałka Sejmu zastępującego Prezydenta, do zwołania

Zgromadzenia Narodowego dla wyboru Prezydenta do Poznania lub do Katowic a nie do Warszawy, gdzieby mogło ulegać presji ulicy. Rataj odrzucił naszą propozycję.

Wybrany został Piłsudski. Jak było do przewidzenia Piłsudski nie przyjął wyboru. Wybór traktował tylko jako rozgrzeszenie go z zamachu. Nie przywiązywał wagi do zaszczytów, nie chciał się obciążać obowiązkami reprezentacyjnymi, cenił tylko istotną władzę i swoim zwyczajem postanowił wykonywać ją z ukrycia bez ponoszenia wyraźnej odpowiedzialności, posługując się wyznaczonymi przez siebie figurantami absolutnie poddanymi jego woli.

Podjąłem myśl, aby przy drugim wyborze wysunąć kandydaturę Bobrzyńskiego. Jako namiestnik, zyskał sobie mir w radykalnym nawet odłamie ludowców. Poważali go piłsudczycy, jako najwyższy autorytet w stronnictwie. krakowskim patronował NKN-owi. Co najważniejsze miał dla niego respekt sam Piłsudski, istniało więc prawdopodobieństwo, że wyboru jego nie potraktowałby jako wyzwania, lecz zgodziłby się współpracować z nim. Głową Państwa byłby człowiek szerokiego umysłu, ogromnego doświadczenia i wyrobienia politycznego, który potrafiłby wprowadzić do dyktatury elementy rozsądku i umiaru.

Stronnictwo moje zaaprobowało mój projekt. Zjechałem dla niego marszałka Senatu Trąpczyńskiego a tym samym utorowałem drogę do pozyskania Ch-Dcji, której najbliższymi stał Marszałek. Razem z nim pojechaliśmy do Garb, majątku niedaleko Poznania, gdzie mieszkał Bobrzyński od czasu powstania Państwa, i przedłożyliśmy mu naszą propozycję. Był zaskoczony, wymawiał się podeszłym wiekiem. Nalegałem na niego mocno. Przyrzekł dać odpowiedź następnego dnia. Nazajutrz pojechałem do niego znowu, tym razem sam. Zgodził się. Zaznaczył przy tym, że liczy na moją współpracę. Teraz dopiero zwróciłem się do N.D-cji. Odmówiono mi kategorycznie. Głębiński prezes N.D. wyciągnął cały szereg pretensji do Bobrzyńskiego ongi przeważnie uzasadnionych, dzisiaj nieaktualnych. Patrzyli na sprawę pod kątem partykularza galicyjskiego.

Projekt upadł. Stronnictwa opozycyjne głosowały demonstracyjnie na Bnińskiego. Wyszedł Mościcki. Fatalne konsekwencje tego wyboru wnet się ujawniły.

Z ramienia Ch.N-u wszedłem do komisji konstytucyjnej Senatu. Głosowałem za przedłożeniem Rządu zmieniającym konstytucję w kierunku ograniczenia wszechwładzy Sejmu, a wzmocnienie władzy wykonawczej.

Wobec mego opozycyjnego stanowiska do rządzącego reżimu przez ostatnie półtora roku kadencji parlamentarnej znajdowałem się na marginesie życia państwowego. Po jej zakończeniu stronnictwo nasze rozpadło się. Ziemiaństwo, które w masie swojej należało do niego, obecnie w ogromnej większości przeszło do sanacji ufając Piłsudskiemu, że znajdzie w nim obrońcę swych interesów.

Przy nowych wyborach N.D-cja proponowała mi umieszczenie na liście swych kandydatów. Odmówiłem. Proponowano mi również poufnie mandat z listy sanacyjnej. Oczywiście za cenę przystąpienia do nich. Była to „przysługa” dawnych

członków Ch-Nu, obecnie popleczników reżimu. Naturalnie – odmówiłem. Z karierą parlamentarną pożegnałem się definitywnie.

Wybrany zostałem rektorem Uniwersytetu na rok akad. 1929/30 a po upływie rocznej kadencji – ponownie na 1930/31.

W tych czasach ostrego napięcia politycznego uważałem za najważniejszą sprawę młodzieży, kierownictwa nią. Sanacja po zagarnięciu władzy państwowej z całą bezwzględnością dążyła do opanowania wszystkich dziedzin życia publicznego. Młodzież akademicka we wszystkich ośrodkach w ogromnej większości nastawiona była opozycyjnie, w czym znajdowała ciche poparcie ze strony profesorów także w większości przeciwnych reżimowi. Wrzało wśród młodzieży, o wybuch tym łatwiej było, że władzy mogło zależeć na sprowokowaniu go. Doszło do niego z racji Akademii urzędzonej w auli uniwersyteckiej dla uczczenia daty zwolnienia Piłsudskiego z więzienia w Magdeburgu i objęcia przez niego władzy – 11 listopada – uznanej przez piłsudczyznę za święto „narodowe”. Młodzież manifestowała przeciw temu przed gmachem uniwersytetu. Policja była na to przygotowana i uderzyła na manifestujących z niesłychaną brutalnością. Policjanci konni natarli na nich od ulicy Wjazdowej i pędzili ku ulicy Fredry, na którą dostęp był zamknięty przez policję pieszą. Studenci znaleźli się w kotle. Bito ich, płazowano. W trakcie tego wezwano mnie do uniwersytetu. Na moje polecenie ciężiej poturbowanych sprowadzono do gabinetu rektorskiego, gdzie wezwany lekarz ich opatrywał. Do późnej nocy tam przebywałem.

Nazajutrz zjawiła się u mnie delegacja młodzieży z prośbą o zezwolenie na odbycie wiecu protestacyjnego. Zjawił się też wojewoda z naleganiem, abym odmówił zezwolenia. Odpowiedziałem mu, że wiec musi się odbyć i odbędzie się, bo to jest konieczny i jedyny sposób rozładowania uzasadnionego wzburzenia. Gwarantuję, że nie dojdzie do żadnych ekscesów, jeśli on, wojewoda, zobowiąże się, że policja nie pojawi się ani w czasie wiecowania ani wtedy, gdy młodzież rozchodzić się będzie po swoim śpiewając i hałasując na ulicach. Wojewoda warunek ten przyjął.

Młodzież akademicka była wówczas znakomicie zorganizowana. Przede wszystkim w Bratniej Pomocy, która obejmowała bez mała wszystkich studentów, następnie w związkach „ideowych” czyli politycznych, w korporacjach zrzeszonych w kole między korporacyjnym, w kołach i stowarzyszeniach naukowych sportowych, terenowych.

Zaprosiłem do gabinetu rektorskiego przewodniczących najważniejszych organizacji. Zebrało się ich kilkunastu. Przynieśli projekt rezolucji wiecu. Odbyłem z nimi długą parogodziną nadzwyczaj szczerą rozmowę. Rozważałem sprawę na tle ogólnej sytuacji politycznej kraju. Przyznałem im prawo do protestu przeciw gwałtowi, nie chciałem osłabiać jego twardości, ale żądałem, by w sformułowaniu jego i zachowaniu młodzieży była zachowana miara, jakiej wymaga interes i jej i szkoły, aby Uniwersytet nie był narażony na wstrząsy a młodzież na straty. Nie narzucałem im swojej woli, lecz wyjaśniałem, przekonywałem, apelowałem do ich

sumienia i rozumu jako członków społeczności akademickiej i obywateli kraju. Niektórzy gorętsi buntowali się, łamali się ze sobą zanim dali się przekonać. Ze wzruszeniem wspominam, jak wysoki był poziom przemówień tych chłopców, jak górnio i czysto w nich dźwięczała nuta patriotyzmu i obywatelskości.

Ustaliliśmy w końcu treść rezolucji, przebieg wiecu, sposób jego rozwiązania. W imieniu całej młodzieży zebrani zobowiązali się dotrzymać układu ze mną zawartego.

I istotnie wszystko odbyło się zgodnie z tym układem. Młodzież poszła karnie za nakazem swych przewodców. Żaden incydent nie zakłócił ani wiecu ani pochodu, który po nim nastąpił. I wojewoda dotrzymał słowa. Sprawa została pomyślnie zlikwidowana.

Doświadczeniem nabytym wtedy przy tym zdarzeniu kierowałem się stale w stosunku do młodzieży w czasie mego urzędowania rektorskiego. Ilekroć zachodziła potrzeba oddziaływania na młodzież, skłonienia jej do jakiejś zbiorowej akcji albo powstrzymania od jakiegoś nierozważnego kroku, wystarczyło wezwać do siebie przewodniczących organizacji czy to pojedynczo czy też zbiorowo i odbyć z nimi szczerą rozmowę: skutek był zawsze zapewniony. I oni z własnej inicjatywy nieraz przychodzili do mnie, gdy wyłonił się jakiś ważniejszy problem. Nigdy mnie nie zawiedli. Spotykałem się stale z lojalnością i karnością. Nie zabiegałem o popularność. Występowałem przeciw każdemu naruszeniu przepisów akademickich i domagałem się poszanowania władz akademickich. Kierowałem ręką mocną ale nie twardą. Stosunek mój z młodzieżą był oparty na wzajemnym zaufaniu. W sprawozdaniu moim składanym w czasie inauguracji po drugim roku urzędowania podkreśliłem silnie ten przyjazny stosunek młodzieży do rektora i serdecznie dziękowałem jej za to.

W początku mego urzędowania zostały ukończone i oddane do użytkowania dwa ogromne gmachy: Collegium Anatomicum i Chemicum. Zakłady wydziału lekarskiego i przyrodniczego, które miały w nich znaleźć pomieszczenie, zgłosiły niepomierne roszczenia co do kubatury. Mimo swej wielkości gmachy nie mogłyby ich zaspokoić. Do Senatu należało ustalenie planu rozmieszczenia. Zainteresowani profesorowie zarzucali mu brak fachowości dla rozstrzygnięcia tego zagadnienia. Mieli rację, ale sami nie mogli uzgodnić się między sobą. Sprawa więc stała w martwym punkcie.

W tej sytuacji powziąłem taki plan: zwróciłem się do kilku wybitnych profesorów innych uniwersytetów – chemików, biologów – z prośbą, aby przybyli do Poznania, zapoznali się naocznie z zagadnieniem i przedstawili Senatowi konkretny projekt rozmieszczenia zakładów. Zgodzili się chętnie. Tej komisji rzeczoznawców przewodniczył prezes Akademii Umiejętności Kostanecki, profesor anatomii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Z zadania swego wywiązali się najsuwniej. Zorientowali się na miejscu w lokalach, poczym na przygotowanych zawnazu planach wrysowali pomieszczenie każdego zakładu. Projekt ten na mocy uchwały Senatu został uznany za obowiązujący. Były oczywiście sprzeciwy,

przeszliśmy jednak nad nimi do porządku dziennego, powołując się na niekwestionowany autorytet rzeczoznawców. Sprawa została definitywnie i pomyślnie załatwiona.

Dzięki ofiarności pierwszego rektora naszego Heliodora Świącickiego i namówionych przez niego zamożnych obywateli, Uniwersytet nasz wszedł w posiadanie szeregu nieruchomości w Poznaniu. Posiadał duży własny majątek odrębny od państwowego, administrował nim zupełnie samodzielnie i czerpał z niego poważne dochody obracane przedewszystkiem na cele naukowe. Żadna inna szkoła akademicka w kraju nie posiadała takiego majątku. Uporządkowaniu jego i zarządowi nim poświęcałem dużo uwagi. Ponieważ w związku z tym wynikało niemało spraw spornych zaangażowałem więc stałego syndyka uniwersyteckiego. Przy jego pomocy pomyślnie został zakończony proces o dwa wielkie bloki mieszkalne.

W czasie mojej kadencji nastąpiło ostateczne po wieloletnich sporach przewłaszczenie na rzecz Uniwersytetu gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej, który był dotychczas własnością Poznańskiego Związku Wojewódzkiego, jak również został zbudowany drugi dom profesorski.

W roku 1931/2 uczestniczyłem w Senacie jako prorektor. Następca mój, prof. Sajdak, oświadczył, że wszystko ma iść po linii przeze mnie wytkniętej. I istotnie, w każdej ważniejszej sprawie szedł za moim zdaniem. – W latach 1934/35, 1935/36, 1936/37 zasiadałem znowu w Senacie jako dziekan.

Od roku 1933 urządałem stale w Zielone Święta rekolekcje zamknięte dla profesorów uniwersytetu. Odbywały się one w Niechanowie Leona Żółtowskiego. Na rekolektantów zapraszałem najwybitniejszych kapłanów zakonnych i świeckich. Między innymi prowadził je X. Prymas Hlond. Uczestników bywało kilkunastu, głównie z wydziału prawnego i lekarskiego.

W 1936 opracowałem projekt reformy duszpasterstwa parafialnego. Myślą jego przewodnią było stworzenie organizacji dekanackiej duchowieństwa parafialnego, która kierowałaby jego pracą duszpasterską, dostarczając mu zarazem oparcia duchowego i intelektualnego w domach dekanackich mających charakter na poły zakorny.

Projekt ten ocenił pozytywnie X. Prymas Hlond i streszczenie jego przesłał do Rzymu. X. abp. Sapieha poszedł jeszcze dalej: postanowił tytułem próby wprowadzić go w życie w paru dekanatach swej diecezji. Wojna temu przeszkodziła.

W 1936 księgarnia św. Wojciecha wydała *Rozważania* – pokłosie moich osobistych przeżyć duchowych i rozmyślań, które w ciągu długich lat miałem zwyczaj spisywać dla siebie. Książka zdobyła sobie nieoczekiwaną przeze mnie poczytność. Po roku wyszło II jej wydanie. I to do wojny zostało wyczerpane. Zachęcony tym oddałem do druku drugą serję rozważań p.t. *Myślą, sercem, wolą*. I ta rozeszła się szybko.

23 stycznia 1923 pobraliśmy się z Leonią⁷. W grudniu tego roku przyszedł na świat Andrzej, w 1925 – Wojtek, w 1928 – Elunia.

W 1938 siostry jej wypłaciły nam należne 2/5 współwłasności willi „Maria” w Nałęczowie. Za te pieniądze i za przyjacielską pożyczkę zbudowaliśmy dom w Krosinku. Spędziliśmy w nim lato 1939. I tu nas zaskoczyła wojna. W tydzień później powróciliśmy do Poznania.

8 XI 1939 zostałem wzięty w charakterze zakładnika wojskowego – Militar-geisel. Umieszczono mnie wraz z innymi zakładnikami początkowo w Ratuszu, a następnie w Collegium Marianum, później przeniesiono nas do gmachu gimnazjum. Na początku grudnia rozwiązano obóz z obowiązkiem meldowania się w komendanturze m. Poznania. W tym czasie nasiliła się akcja wysiedlania inteligencji polskiej do Generalnej Gubernii.

13 grudnia zostaliśmy wysiedleni i po 60-godzinnej podróży w najcięższych warunkach wyrzuceni w Limanowej. Znaleźliśmy tu gościnę u pp. Gibasów, właścicieli Mordarki, majątku graniczącego z Limanową. Po parodniowym u nich wypoczynku pojechaliśmy do Jedlni do Łusakowskich, z zamiarem przetrwania u nich wojny. Zastaliśmy ich jednak także bezdomnych: wyrzucono go z posady nadleśniczego. Ostatecznie znaleźliśmy schronienie u krewnych moich Rutkowskich w Kroczowie. Przeżyliśmy u nich prawie dwa i pół roku o głodzie i chłdzie, bo majątek był w zarządzie niemieckim. Płaciliśmy częściowo za nasze utrzymanie, gdyż zdołaliśmy ocalić pewną ilość dolarów, które w przewidywaniu wojny zawczasu zakupiłem. W końcu maja 1942 przenieśliśmy się do Warszawy. Pierwszy rok mieszkaliśmy osobno: Leońcia z Wojtkiem⁸ i Elunią u p. Wandy Brykczyńskiej¹⁰, Andrzej⁹ u Pallotynów, ja w klasztorze Dominikanów w Służewie.

Napisałem tu książkę *Polskie Prawo Administracyjne* – zestawienie moich wykładów uniwersyteckich. Wydrukowana została tajnie z polecenia Delegatury Rządu. Wyszła pod pseudonimem „Łużycki”.

Drugi rok przeżyliśmy razem w mieszkaniu na ulicy Smulikowskiego przydzielonym mi przez Delegaturę za pośrednictwem Leopolda Rutkowskiego dyrektora (Ministra) Spraw Wewnętrznych.

Współpracowałem z Ministertwem Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu w charakterze doradcy.

Po przybyciu do Warszawy w maju 1942 r. rozpocząłem tajne nauczanie na Uniwersytecie Warszawskim i Uniwersytecie Poznańskim – Ziemi Zachodnich:

1. wykładałem prawo administracyjne na kompletach studentów III roku Wydziału Prawa UW na podstawie umowy ze śp. Prof. Rafaczem. Były cztery równoczesne komplety w 1943 i 44 r. Odbływały się w prywatnych mieszkaniach. Zapisanych było ponad 40 słuchaczy.
2. Jeden komplet studentów Uniwersytetu Ziemi Zachodnich zorganizowany i prowadzony był przez prof. Stefana Zaleskiego wg. programu sekcji ekonomicznej UP roku II-go. Zapisanych było 10 osób. Wykładów nie skończyłem z powodu wybuchu Powstania Warszawskiego. Kilku uczestników tego kompletu złożyło egzamin w 1945 r. w Poznaniu.

3. Wykładałem prawo administracyjne na kompletach księży-słuchaczy sekcji prawnej Wydziału teologicznego Uniwersytetu Warszawskiego. Kompletów było 5 – kolejnych u mnie w domu i przy 4 kościołach. Razem było 40 księży. Około połowy złożyło egzaminy. Ćwiczeń żadnych nie prowadziłem. Razem w ciągu tych niespełna 2-ch lat słuchało moich wykładów ponad 100 osób.

Książka i wykłady tyle mi przynosiły, że mogłem utrzymać dom nie naruszając resztek skarbu dolarowego.

W lecie 1944 zachorowałem na wrzody na prawej dłoni na tle anemii. Miesiąc przeleżałem w sanatorium.

Powstanie. Obaj chłopcy poszli walczyć. My troje już pierwszego dnia musieliśmy opuścić nasze mieszkanie i odtąd przez z górą miesiąc tułaliśmy się po obcych mieszkaniach i piwnicach w skrajnym niedostatku. 5-go września wojsko nasze opuściło Powiśle. Następnego dnia Niemcy popędzili nas na Wolę a stamtąd nazajutrz przez Pruszków wywieziono do Sochaczewa. Leońcia zachorowała na desynterię. Dzięki intensywnej kuracji cybazolem niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Dwa miesiące pozostawaliśmy tu: ja w szpitalu, Leońcia i Elunia w Boryszewie 4 km. od Sochaczewa, w fatalnych warunkach. 20 października dowiedzieliśmy się o losie chłopców. Wojtek wywieziony jako jeńiec do Niemiec, Andrzej ciężko ranny, sparaliżowany leży w szpitalu w Skierniewicach. Odwiedziliśmy go tam dwukrotnie. W początku listopada na zaproszenie Stasia pojechaliśmy do niego do Częstochowy. Po parodniowym pobycie tam zdecydowaliśmy się skorzystać z niespodziewanej propozycji Andrzeja Jonschera: zamieszkać w gajówce dworskiej w Lipiu należącej do Zielonej Dąbrowy Gajerów, krewnych Andrzeja – 30 km. od Częstochowy. Pojechaliśmy tam 15 listopada i przeżyliśmy całą zimę w warunkach prymitywnych chłopskiego bytowania, Leońcia i Elunia w ciężkiej pracy fizycznej. Byliśmy jednak „u siebie”. Dąbrowa zaopatrywała nas w najniezbędniejsze artykuły żywności i opału, Leopold Rutkowski zasiłił nas pieniędzmi. Pierwszą połowę stycznia przeżyliśmy w nieustannej trwodze: dookoła Własowcy dopuszczali się masowych mordów. 16 stycznia przewalił się przez nas front – bez walk w najbliższej okolicy. Przez szereg następnych dni wciąż nas nawiedzali żołnierze sowieccy grupami lub pojedynczo. Sytuacja aprowizacyjna nasza z dnia na dzień się pogarszała z powodu „uspołecznienia” Dąbrowy i zmiany „waluty”. W połowie lutego Staś powędrował pieszo ze swoją ekipą¹¹ do Poznania, zajął mieszkanie na Grottgera i dom w Krosinku¹² i wezwał nas do najszybszego przyjazdu. Pierwsza połowa marca zesłała nam na staraniach wydostania się z Lipia. 13 marca stanęliśmy wreszcie w Częstochowie: gdzie połączyliśmy się z Andrzejem już względnie zdrowym. Po dwóch dniach ruszyliśmy do Poznania. Podróż pociągiem w otwartych lorach trwała przeszło dobę. 16 marca weszliśmy do naszego mieszkania na Grottgera po 63-miesięcznej tułaczce na wygnaniu.

Utrzymanie się w obszernym mieszkaniu na Grottgera było niemożliwe, ze względu na bezpieczeństwo przenieśliśmy się więc w kwietniu do domu uniwersyteckiego na ul. Asnyka.

Przyjechałem do Poznania pierwszy z profesorów naszego wydziału. Natychmiast zająłem się sprawami uniwersyteckimi. Niebawem powrócił dziekan Wojciechowski. Będąc jednak całkowicie zaabsorbowany tworzeniem Instytutu Zachodniego prosił mnie o zastąpienie go w obowiązkach dziekana. Pełniłem je do końca lata 1945, odtwarzając nasz wydział i współdziałając w odbudowie Uniwersytetu.

Okres od wiosny do jesieni uznaliśmy za pełny rok akademicki. Zajęcia uniwersyteckie odbywały się bez przerwy wakacyjnej. Objąłem wykłady prawa administracyjnego w Akademii Handlowej, i administracji służby zdrowia na wydziale farmaceutycznym.

Zainicjowałem i przy współudziale dwóch kolegów profesorów prowadziłem wyższe seminarium z prawa publicznego dla asystenstów doktorów i doktorantów. – Kierowałem pracami doktorskimi dwóch moich asystentów, Janowicza i Pawlaka. Tematem ich była analiza naukowa niemieckiej administracji okupacyjnej: pierwszego – w „Warthegau”, drugiego – w Generalnej Gubernii. Obie prace zostały opublikowane.

Moje *Polskie Prawo Administracyjne* ukazało się już pod moim nazwiskiem – w początkach 1946 w nakładzie 3.000 egzemplarzy, w 3-im wydaniu w 1947 w nakładzie 5.000, a w 1948, w 4-ym wydaniu również 5000 egzemplarzy. Wydawca licząc się z dalszymi wydaniem polecił nie rozbiierać składu drukarskiego. Cenzura nie zezwoliła jednak na dalsze wydania: książka została uznana za szkodliwą, jako „wytwór myśli burżuazyjnej”. (W 1946 organ urzędowy „Rady Narodowe” umieścił b. pochlebną jej ocenę i gorąco zalecał jej rozpowszechnienie). Donoszono mi później, że urzędnicy w sekrecie posługują się nią przy urzędowaniu. Na zaproszenie prof. Wojciechowskiego zorganizowałem w ramach Instytutu Zachodniego Sekcję Prawną. Weszło do niej kilkunastu prawników publicystów i cywilistów. Zespół był zgrany i aktywny. Opracowaliśmy kilka projektów ustaw, z których najważniejsze dotyczyły uregulowania sytuacji prawnej ludzi zapisanych przez okupanta na różne listy narodowe niemieckie, oraz uwłaszczenia mieszkańców Ziemi Zachodnich przesiedlonych tu ze wschodniej i centralnej Polski. Projekty te opracowywaliśmy na zamówienie Ministerstwa Ziemi Zachodnich, którym kierował Gomółka. Straciły one wszelkie praktyczne znaczenie z chwilą zlikwidowania Gomółki. Z Sekcji Prawnej I.Z.¹³ wyłoniło się periodyczne wydawnictwo: „Administracja i Samorząd na Ziemiach Odzyskanych” (w skrócie „AS”). Pojawiało się w dwóch seriach: A) jako periodyk, w zasadzie kwartalnik zawierający artykuły omawiające zagadnienia administracyjne Z.Z.¹⁴; B) Teksty ustaw obowiązujących na Z.Z. Duszą wydawnictwa był Tomasz Nowicki, sekretarz redakcji. Dzięki jego zapałowi do tej pracy, zmysłowi organizacyjnemu, zapobiegliwości i gospodarności zeszyty pojawiały się regularnie, wydawnictwo

przedstawiało się poważnie. W 1948 Ministerstwo Z.O. przestało nas finansować: „AS” nie mógł dalej wychodzić.

Dekretem z 9.IX.1947 Ministra Oświaty zostałem przeniesiony w stan spoczynku z dniem 31.XII tegoż roku.

Koledzy moi, członkowie Rady Wydziałowej wręczyli mi przez delegację adres następującej treści:

„Czcigodny Panie Rektorze i Kochany Kolego! Historia naszego Wydziału od początku niemal jego istnienia jest związana ściśle z Twoją osobą. Jesteś jednym z pierwszych jego budowniczych. Przez ćwierć wieku jako długoletni profesor, wielokrotny dziekan i rektor oddawałeś swoją głęboką wiedzę, swoje gorące serce i charakter nieugięty na usługi nauki, młodzieży, uczelni, kolegów. W okresie okupacji stajesz się podporą Wydziału w najtrudniejszym jego okresie na Tajnym Uniwersytecie Ziemi Zachodnich. Wtedy właśnie, w warunkach konspiracji, wydajesz swój Podręcznik Polskiego Prawa Administracyjnego, który i dziś, w czwartym wydaniu służy młodzieży i społeczeństwu.

Z chwilą wyzwolenia Poznania, jeszcze wśród dymiących gruzów miasta, jako jeden z pierwszych, mimo nadwątlonego w warunkach konspiracyjnych zdrowia, zjawiasz się na miejscu i podejmujesz ciężki trud odbudowania naszego Wydziału i naszej Wszechnicy.

Dziś, kiedy przeniesiony zarządzeniem władz w stan spoczynku, opuszczasz nasze szeregi, Rada Wydziału Prawno-Ekonomicznego składa ofiarnej pracy głęboki hołd i podziękowanie serdeczne, zapewnienie naszych niezmiennych uczuć i prośbę, byś nas nadal jako swoich kolegów darzył zaufaniem i życzliwą przyjaźnią”. 16.XII.1947. Następuje 25 podpisów.

W Akademii Handlowej wykładałem do połowy 1950, kiedy to zlikwidowano w tej szkole wykład prawa administracyjnego.

Od rektora Akademii otrzymałem z tej racji pismo następującej treści:

„Wielce Szanowny Panie Profesorze! Z okazji ustąpienia Pańskiego z grona profesorów Akademii Handlowej w Poznaniu na skutek przekształcenia jej na Wyższą Szkołę Ekonomiczną i związanej z tym zmiany programu wykładów pozwałam sobie w imieniu własnym i Rady Profesorów wyrazić Panu serdeczne podziękowanie za współpracę z naszą uczelnią od chwili jej powstania.

Głęboka wiedza i doświadczenie, znakomite zalety pedagogiczne i szlachetność charakteru, życzliwy stosunek do młodzieży zjednały Panu powszechny szacunek i szczerą sympatię wśród profesorów, administracji i młodzieży naszej szkoły. Z żalem rozstając się z Panem Profesorem, życzymy Mu najlepszego zdrowia i wiele szczęścia osobistego”. Poznań, 4.XII.1950. Prof. Dr. F. Barciński

Z wykładów na Wydziale farmaceutycznym sam zrezygnowałem, jeszcze w 1948.

W 1946 wznowiłem rekolekcje uniwersyteckie Zielonoświąteczne. Wobec zlikwidowania Niechanowa, na życzenie Prymasa Hlonda, udzieliło nam gościnę Zgromadzenie Sacré Coeur w swym zakładzie wychowawczym w Polskiej Wsi

koło Gniezna. Wprowadziłem dwie zmiany: w rekolekcjach brali udział nie tylko profesorowie ale także asystenci, wskutek czego liczba uczestników znacznie wzrosła; pomiędzy rekolekcjami zbieraliśmy się co kwartał w Seminarium Duchownym poznańskim, gdzie po mszy wspólnej i komunii św. wysłuchiwalismy konferencji i prowadziliśmy nad nimi dyskusję. Te zebrania kwartalne trzeba było jednak po dwóch latach przerwać, aby nie narażać Seminarium na represje. Od roku 1950 musieliśmy również zrezygnować z gościny w Polskiej Wsi, dalsze bowiem odbywanie tam rekolekcji groziło zamknięciem tamtejszego zakładu szkolnego. 1950–1952 zbieraliśmy się na nie – jak zawsze w Zielone Świąta – w godzinach wieczornych w klasztorze O.O. Dominikanów w Poznaniu, w ich kaplicy zakonnej. Nawet w tak zredukowanych formach musieliśmy się ich wyrzec, aby nie narażać na niebezpieczeństwo klasztoru i uczestników, zwłaszcza młodych. W 1957 wznowił je w porozumieniu ze mną prof. Staniewicz. Odbyły się – zamknięte – w klasztorze S.S. Urszulanek Szarych w Otorowie pod Poznaniem. Z powodu stanu zdrowia nie brałem w nich udziału.

Z polecenia X. Prymasa Hlonda projekt mój reformy duszpasterstwa został w 1947 wydrukowany w Niepokalanowie O.O. Franciszkanów p.t.: *O nowe formy duszpasterstwa*. Broszura ta nie ukazała się w handlu księgarskim lecz miała być rozpowszechniana wśród duchowieństwa i zaufanych osób świeckich.

Dwa wydania *Rozważań* wyszły przed wojną w kraju, zaś w czasie wojny za granicą, a mianowicie dwa w Londynie (jako fotokopia) nakładem Związku Harcerstwa Polskiego, a jedno w Hanowerze nakładem Związku Wydawców. Po wojnie w 1946 wyszło wydanie szóste nakładem Księgarni św. Wojciecha (Albertinum) w Poznaniu. Na dalsze wydania nie zezwoliła cenzura. Poza tym książka ta została zaliczona do t.zw. „prohibitów”: w bibliotekach publicznych nie wolno było jej dawać do czytania.

Po przeniesieniu mnie w stan spoczynku przenieśliśmy się na stałe do Krosinka w połowie 1948. W mieszkaniu na Asnyka w Poznaniu odnajdliśmy najpierw dwa, potem trzy pokoje. Utrzymaliśmy się przy jednym, jako pied-à-terre, dzięki życzliwości władz uniwersyteckich.

Położenie nasze materialne stawało się z każdym rokiem coraz cięższe. Emerytura była śmiesznie mała. Stopniowo odpadały uboczne dochody: z wykładów zleconych, z książek, za pracę w „As-ie”. – Leońcia odtworzyła w Krosinku zniszczony w czasie wojny sad owocowy, założyła i ogromnym nakładem sił prowadziła fermę kurzą. Dawała ona przez parę lat dochód. Musiała jednak być stopniowo redukowana, gdyż jako przedsiębiorstwo prywatne nie mogło uzyskać przydziału paszy.

W tej sytuacji zabrałem się do tłumaczeń na razie dorywczych. W 1952 zawarłem umowę z Prowincjałem Dominikanów o tłumaczenie *Summy teologicznej* Tomasza z Akwinu. W ciągu czterech lat przetłumaczyłem traktaty o *Wierze, Nadziei, Miłości i Sprawiedliwości*, razem 589 stron maszynopisu. Pomagał mi w tej pracy Andrzej w drodze korespondencyjnej rozstrzygając wątpliwości. Na

rachunek honorarium Dominikanie wypracowali mi po kilkaset złotych miesięcznie. Razem z emeryturą nie wystarczało to oczywiście na utrzymanie. Zaciągaliśmy pożyczki. W 1952 stanęliśmy wreszcie wobec konieczności podjęcia decyzji, czy nie zwinąć domu w Krosinku, powrócić do Poznania i tu w jednym pokoju bez służącej biedować. W tym czasie Wojtek osiadł już w U.S.A., zdobył dobrą posadę. Zaalarmowany przez Andrzeja z największą gotowością ofiarował nam się z pomocą. Dzięki jego przesyłkom towarowym w kraju spieniężanym a regularnie nadsyłanym przeżyliśmy następne cztery lata, wiążąc jako tako koniec z końcem.

W 1956 nastąpiła absolutnie nieoczekiwana, nadzwyczajna zmiana w naszym położeniu materialnym: od października zostałem reaktywowany na katedrze uniwersyteckiej. Stan zdrowia nie pozwala mi jednak na pełnienie obowiązków profesorskich. Sytuacja moja prawna jest podobna do tej, jaką mieli na podstawie dawnej ustawy akademickiej profesorowie honorowi: wszystkie prawa, żadnych obowiązków.

Od szregu lat opracowuję zagadnienie „władzy”, jako zjawiska społecznego. Rozprawę o charakterze socjologicznym doprowadziłem – po wielu przeróbkach – do tego stanu, że mogłaby być opublikowana. Czy będzie wydrukowana..? Niewiadomo. Może dopiero Andrzej dokona tego. W tej pracy również współdziała ze mną.

W latach 1946–1949 trzykrotnie przechodziłem operację zaćmy ocznej (katarakty). Mam utrudnione widzenie. Kilkakrotnie w ostatnich latach przechodziłem zapalenie płuc. W skutek anemii niewielkim rozporządzam zasobem sił. Nękają mnie poza tym różne inne dolegliwości nieodłączne od starości. Żyję i mogę jeszcze, choć w ograniczonej mierze pracować tylko dzięki niesłychanie troskliwej opiece Leńci i przebywaniu w Krosinku w idealnych warunkach mieszkaniowych i klimatycznych.

* * *

Dzieci Stanisława Kaszniczy i Amelii z Malewskich: 2-ch synów Stanisław i Jan.

Stanisław ur. 25 lipca 1908 we Lwowie. Naukę początkową pobierał w domu w Dublanach. W 1919 roku uczęszczał do Gim. Wojciecha Górskiego w Warszawie. A począwszy od roku 1920 do Gim. im. Marcinkowskiego w Poznaniu, które ukończył 1926 r. Zapisał się na Wydział Prawny Uniwersytetu Poznańskiego i ukończył go w 1931 ze stopniem magistra prawa.

W latach uniwersyteckich brał intensywny udział w życiu koleżeńskim i organizacyjnym studenckim. Był członkiem zarządu Bratniej Pomocy, wstąpił do korporacji „Helionia”, mocno się do niej przywiązał. Wstąpił do politycznej Organizacji Narodowo Radykalnej (ONR). Występował ostro przeciw Sanacji, przy wyborach sejmowych rozwijał żywą działalność narażając się nieraz na guzy. Z wielu kolegami nawiązał bliskie, serdeczne stosunki.

Życie towarzyskie w ścisłym znaczeniu nie pociągało go.



Dzieci Stanisława Kasznicy
od lewej: Andrzej, Stanisław, Wojciech, Jan i Eleonora. fot. 1930 r.

Po ukończeniu Uniwersytetu odbył służbę wojskową w konnej artylerii, ukończył podchorążówkę w Włodzimierzu Wołyńskim. Znajdował upodobanie w tej służbie. Polubił konną jazdę, nawiązał tu bliskie koleżeńskie stosunki. Z dowódcami umiał sobie radzić, wyrobił sobie dobrą markę. Jako podporucznik został przydzielony do poznańskiego VII Daku.

Po wojsku został aplikantem adwokackim u Ignacego Weinfelda w Warszawie. W trakcie aplikantury zawiązał stosunek z klientem Weinfelda Rogowskim właścicielem garbarni w Gnieźnie i przyjął u niego stanowisko dyrektora administracyjnego. Równocześnie ciotka jego Zofia Jaworska musiała opuścić Warszawę i przeniosła się do niego do Gniezna i prowadziła mu dom. Po pewnym czasie wpadł na ślad matactw podatkowych w gospodarce fabrycznej grożącymi konsekwencjami kryminalnymi, wobec czego zerwał umowę i przeniósł się z ciotką do Poznania. Po paru latach przeniósł się do Warszawy, gdzie zawiązał spółkę z adwokatem Łozińskim, który po śmierci Weinfelda objął jego kancelarię.

Wybuchła wojna. Walczył od początku, dotarł ze swą baterią do Puszczy Kampinowskiej, przedarł się do Warszawy, brał udział w ostatnich walkach przed jej kapitulacją. Po niej nie poszedł w niewolę lecz pozostał w Warszawie, nawiązał kontakty i zapadł głęboko w konspirację i tkwił w niej cały czas okupacji odgrywając w niej coraz czynniejszą, ważniejszą i ryzykowniejszą rolę. 13-go grudnia 1939 roku zaślubił Reginę Niedźwiałkowską. W 1940 r. urodziła im się córka Zofia.

W latach 1940/41 odwiedzał nas dwukrotnie w Kroczowie. Po przeniesieniu się naszym do Warszawy w 1942 odwiedzał nas bardzo często. Za każdym spotkaniem kreślił nam obraz sytuacji wojennej jak i walki z okupantem w kraju. Był dobrze poinformowany, operował faktami a nie plotkami, stawiał horoskopy ostrożne, przemyślane i naogół trafne.

Opowiadał nam szczegółowo o swojej osobistej działalności o zadaniach mu powierzanych. Była to działalność przede wszystkim polityczna w ramach

Organizacji Narodowo Radykalnej (ONR) i Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ)¹⁵, utrzymujących i zazdrośnie strzegących swej odrębności od Armii Krajowej (AK), ale w walce z okupantem ściśle i lojalnie z nią współdziałającej. W obu tych organizacjach zajmował coraz odpowiedzialniejsze stanowiska.

Brał również udział w *action directe* przeciw okupantom, w przedsięwzięciach ogromnie niebezpiecznych. Okazywał w nich męstwo a zarazem odwagę i zimną krew.

W czasie powstania wyostał się z Warszawy z żoną i dzieckiem i osiadł w Częstochowie.

W początkach listopada 1944 roku nawiązał z nami kontakt. W styczniu 1945 roku z ekipą młodzieży współpracowników swoich piechotą puścił się do Poznania w ślad za armią radziecką. Po dwóch tygodniach marszu dotarł tam, zajął i zabezpieczył nasze mieszkanie na Grottgera i dom w Krosinku i wezwał nas do powrotu. Przyjechaliśmy tam w połowie marca. On przebywał z rodziną w Krosinku często jednak wyjeżdżał. Już wpadli jednak na jego trop, już poszukiwali go. Dwukrotnie cudownie niemal uniknął aresztowania. Znikł nam i przez półtora roku nie mieliśmy o nim żadnej wiadomości. W początku 1947 roku dowiedzieliśmy się od jego żony, że przebywał często w Zakopanem i tam został aresztowany. Po roku śledztwa w marcu 1948 roku odbył się proces pokazowy w Warszawie jego i jego przyjaciela Leszka Neumana¹⁶: obaj zostali skazani na karę śmierci. Robiłem staranie przez kardynała Spiechę o ułaskawienie ale interwencja jego okazała się bezskuteczna. Na sesji sądu na której ogłoszono wyrok były obecne jego żona, Leonia i Elunia. Rozmawiały z nim jakieś pół godziny: opowiadał o tym co przeszedł w śledztwie. Był opanowany, spokojny nawet pogodny. Odniosły wrażenie, że nie wierzy w możliwość wykonania wyroku. Czy został stracony...?

Przez dłuższy czas mieliśmy wątpliwości. Obecnie jednak niemal pewni jesteśmy, że nie żyje¹⁷.

Z najbardziej kompetentnego źródła dowiedzieliśmy się, że postawa jego w czasie śledztwa i procesu była godna i mężna. Według wyrażenia mego informatora zachowywał się i przemawiał jak „mąż stanu”.

Ruta Czaplinska, córka Tadeusza z Janowic, więziona na Mokotowie w Warszawie znalazła się w celi sąsiadującej z celą Stasia. Porozumiewali się ze sobą alfabetem Morsa. Po pewnym czasie znali już swoje nazwiska i rozmawiali ze sobą jako krewni. Później przenieśli go gdzie indziej, wiedziała jednak o nim wszystko od towarzyszy niedoli: cudownie z entuzjazmem wyrażano się o jego postawie ideowej.

Po wyroku otrzymałem kilka listów, przytaczam trzy.

Wyjątki z nich:

Z listu Prymasa Kardynała Hlonda z dn. 22 marca 1948:

„Czcigodny Panie Profesorze! Byłem duchowo złączony z Czcigodnym Panem Profesorem i Jego Domem, dzieląc tajemnicę dopuszczenia Bożego oraz przeciągające się chwile rodzinnego bólu. I polecałem Królowi wieków ten wielkopiąt-

kowy odcinek życia, wpisany w ciepłe serca ponurością ciemnej godziny. Modliłem się o heroizm cichego męczeństwa, o cześć dla niezbadanych wyroków Bożych planów, o hart wiary w obliczu ziemskiego nieszczęścia. Modłę się dalej i ufam, że i ten ból ciemnojutrzenny doczeka się pogody wielkanocnego paschału... Łączę bardzo serdeczne życzenia wielkanocne. Exilient divina mysteria. Z wyrazami głębokiej czci i serdecznego oddania.”

Z listu X. Stanisława Łukomskiego, biskupa łomżyńskiego: dn. 15/3.48:

„...Dowiedziałem się o wielkim smutku, jaki spotkał rodzinę Pana Profesora. Chyba nie trzeba wyrażać Panu Profesorowi słownej pociechy, bo znajdzie ją w Sobie i w pokornym poddaniu się niezbadanej woli Bożej. Jednak pragnę zapewnić Pana Profesora, że ma wielu przyjaciół, którzy z Nim serdecznie współczują i o pociechy Boże dla Niego i Syna się modlą. Z głęboką czcią Pana Profesora sługa”.

Z listu Fryderyka II Zolla, profesora i Rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego (syna Fryderyka I, także profesora i Rektora U.J.)

Kraków 6 marca 1948 r.

„Wielce Szanowny Panie Kolego!

Skończyłem 83 lat życia. Jestem ciężko chory na serce, lecz uczucia i wrażliwość nie zamierają. Pojmie więc kochany Kolega, z jakim żalem okropnym czytam wiadomość o Pańskim Synu, jak z Wami – tak z Ojcem tak i ze Synem chociaż go osobiście nie znam – współczuję. Potrzeba też mego serca była, by choć tych kilka słów przesłać Panu do Poznania. Potrzeba to tym silniejsza, że przecież nasi ojcowie byli najserdeczniejszymi przyjaciółmi, o czym tyle razy od śp. ojca słyszałem. Szczerze Panu Koledze oddany...”

.....

W pożyciu rodzinnym i domowym był nadzwyczaj łatwy, miły, uczynny. Póki przebywał w domu rodzicielskim był w nim czynnikiem dodatnim. Przywiązany był do niego, do nas, do rodzeństwa, poczuwał się do solidarności, współodpowiedzialności, czynił drobne, ale w powszednim życiu cenne wkłady. Kochał młodsze rodzeństwo i miał na nie wpływ dodatni.

Wyznawał i głosił zasady tradycyjne naszego rodu nakazujące wierną służbę Bogu i Ojczyźnie. Wyznawał szczerze: nie było w tym frazesu, udawania. Nie sprzeniewierzył się im w swej działalności i jako student i jako polityk i jako żołnierz. Dał tego dowody w czasie wojny, okupacji, w więzieniu i na ławie oskarżonych.

Wiersz Stasia przesłany nam z Podchorążówki w Włodzimierzu Wołyńskim z dn. 15 stycznia 1932 r.

Dom rodzinny.

Dziś Marsowi służę, rymy wzgardzone
Nie chcą mi służyć, choć pragnę i muszę
Dać uczuciom – upust, – jednak zagnalone
Wnet się ułożą, gdy je sercem ruszę.

Muszę Wam przyznać, że teraz daleko
Gdy sam jako palec żyłem w ciężkiej pracy
To jakby strasznej przykryło mnie wieko
Trumny: tacy byliśmy biedni – tacy

Bezdomni, zbłąkani, lecz bez rozpaczy
Trwaliśmy na posterunku dzięki myśli jednej
Że jest dom rodzinny. Czyż wiecie co to znaczy
Dla skołatanej duszy mojej biednej..?

Dom, Rodzice te przesłodkie słowa,
Których wagę i bezmiar w tej dalekiej szkole
Poznało me serce i głowa
I dziś nic ponad nie nie kocham – nie wolę!

Bo dziwne, wielkie macie w sobie siły,
Które na odległość me serce krzepiły.
I za to drogi, rodzinny mój domu
Hołd ci i dzięki składam, jak nigdy – nikomu!

.....

Jan ur. 4 marca 1912 we Lwowie. Już w parę tygodni po urodzeniu przybył wraz z nami do Dublan, gdzie spędził całe pierwsze dzieciństwo.

Kiedy Matka go odumarała miał dopiero dziesiąty rok. Starszy brat miał dopiero czternasty. Konieczna była więc stała nad nim opieka, dozór, kierownictwo, tym bardziej, że chłopiec był trudny, samowolny, krnąbrny. Zaangażowałem więc na stałe do domu guwernera. Był nim przez pierwszy rok siostrzeniec mój Marcin Krzymuski, student sekcji ekonomicznej. Gdy ten po roku skończył uniwersytet, miejsce jego zajął Adam Domański, student wydziału rolniczego, po nim zaś – po roku – brat jego Józef student prawa i ten pozostawał u nas dwa lata. Wszyscy trzej byli wartościowymi chłopcami, obowiązki swoje spełniali sumiennie, jaki taki autorytet mieli u Janka, nie zrażali go sobie, lubił ich. Ze Stasiem zawiązali przyjazne stosunki. Janek uczył się, tak jak Staś do gimnazjum im. Marcinkowskiego i ukończył je w 1930.

W przeciwieństwie do Stasia miał zdecydowanie przyrodnicze zainteresowania ale nie naukowe lecz praktyczne. Zapisał się więc na wydział rolniczy. Był zdolny, nauka przychodziła mu łatwo, ale nie przykładła się do niej zbyt wiele, że gładko zdawał egzaminy. Nie interesowały go szczególnie zagadnienia społeczne i polityczne. Staś wciągnął go do korporacji „Helionia”, ale i w życiu korporacyjnym, koleżeńskim nie wkładał całego serca. Pociągało go naprawdę życie towarzyskie, obcowanie z kobietami.

W latach dziecińczych był wątłym, słabowitym. Wysyłałem go nawet w latach gimnazjalnych do Zakopanego, do Sanatorium stworzonego przez profesora Emila

Godlewskiego i pod jego opiekę. Kiedy dojrzał wszystkie te niedomogi minęły bez śladu, wyrósł na silnego, wspaniałego mężczyznę. Nie wiele mu brakowało do 2-ch metrów. Był ślicznym chłopcem, bujnym, wesołym, dowcipnym, pełnym wdzięku i wrodzonej elegancji, swobodnym, ciętym w rozmowie nawet zuchwałym. Nic też dziwnego, że miał szczęście u kobiet. Na drugim roku wpadł w fatalne, hulaszcze towarzystwo. Trzeba było przedsięwziąć jakieś stanowcze kroki ratunkowe. Przerwałem jego studia uniwersyteckie i oddałem do szkoły mleczarskiej we Wrześni. Prócz nauki uczniowie sami jako robotnicy pracowali w dużej nowoczesnie urządzonej mleczarni przy szkole. Kurs trwał rok. Nie łatwy był dla Janka: ciężka była praca fizyczna, skazany był na ciągłe obcowanie z kolegami znacznie młodszymi od siebie, prostakami. Dyrektor prowadził szkołę twardą ręką, utrzymywał wojskową, żelazną dyscyplinę. Janek poddał się temu bez buntu, widział jasno korzyści, jakie da mu w przyszłości ukończenie szkoły. Pracował sumiennie i gorliwie, pozyskał uznanie dyrektora, zdobył sobie sympatię i autorytet u kolegów. Skończył szkołę z dyplomem mleczarza.

Następny rok spędził w wojsku. Za przykładem Stasia poszedł do konnej artylerii, do podchorążówki w Włodzimierzu Wołyńskim.

W drodze do Włodzimierza spotkał go fatalny wypadek. Pociąg był przepełniony. Pomagał jakiemuś starszemu podróżnemu wydobyć się z tłumokami z wagonu po czym tak nieuważnie zatrasnął drzwiczki, że zmiażdżył sobie środkowy palec lewej ręki. Wypadek ten spowodował zupełnie nieoczekiwane, dla Janka niezmiernie krzywdzące konsekwencje. Spotkał się mianowicie w dowództwie szkoły z podejrzeniem, że umyślnie się okaleczył aby zwolnić się od służby wojskowej. Było to dla chłopca ambitnego, nastawionego do wojska jako do służby dla Ojczyzny, niezmiernie bolesne. Mimo więc chwilowego kalectwa, mimo cierpienia spowodowanego raną niedbale leczoną, źle gojącą się pełnił służbę sumiennie. Po dłuższym czasie wylizał się, zdobył sobie dobrą opinię w dowództwie i w normalnym czasie uzyskał promocję na podporucznika. Był to nielada wyczyn z jego strony. Tak jak Staś został przydzielony do VII DAKU Poznańskiego. Powrócił na Uniwersytet na trzeci rok studium i po dwóch latach zdobył inżynierat rolnictwa.

Na czwartym roku został asystentem przy katedrze Technologii Rolnej i zamieszkał przy Zakładzie. W roku 1937 otrzymał nominację na nauczyciela mleczarstwa, a więc najważniejszego przedmiotu we Wrześni, którą przedtem ukończył jako mleczarz. W 1938 zaręczył się z koleżanką swoją Marylką Durską, córką lekarza i doktora weterynarii a zarazem właściciela Głuchowa, niewielkiego majątku pod Poznaniem.

Marylka zakochała się w nim głęboko, starała się usilnie i wytrwale zdobyć go – i zdobyła. Czym? Kobieta serio, rozsądna, praktyczna, gospodarna i obdarzona silną wolą, jasno wiedząca czego chce. Janek zdawał sobie sprawę ze swych słabych stron. I zdecydował się związać z nią dlatego, że spodziewał się znaleźć w niej oparcie moralne, że przy jej współdziałaniu wytknie jasną, prostą drogę

życia i iść nią będzie konsekwentnie. Z jego strony było to więc małżeństwo wyrozumowane. W planach jego pewną rolę odgrywało Głuchowo. Marylka założyła tam fermę nutrii. Oboje projektowali utworzenie tam wzorowego gospodarstwa mlecznego na dużą skalę prowadzonego.

Ślub ich odbył się 15 sierpnia 1939 roku. Po ślubie wyjechali do Wisły skąd z początkiem roku szkolnego mieli osiąść we Wrześni, gdzie Janek otrzymał mieszkanie służbowe. W Wiśle po dziesięciu dniach dosięgnął go nakaz mobilizacyjny. Bracia odbywali służbę w dwóch różnych bateriach, każda z nich gdzie indziej była odkomenderowana. Spotkali się jednak pod Warszawą w Puszczy Kampinowskiej. Staś nam później opowiadał, że znalazł go w skrajnej rozpaczce z powodu strasznej, nieoczekiwanej kłęski. Poszedł na zwiady z żołnierzem. Żołnierz wrócił, on nie. Staś był przekonany, że zginął i że szukał śmierci. My nie wierzyliśmy temu i mieliśmy silne dowody na poparcie naszej niewiary. Jeszcze w Poznaniu zgłosił się do nas żołnierz bombardier z wiadomością, że widział się z Jankiem rannym, nie ciężko zresztą w Warszawie w Hotelu „Bristol”. Podobną wiadomość otrzymała od innego żołnierza nauczycielka szkoły gospodarstwa wiejskiego z pod Wrześni w Witkowie. Ale znowu znacznie później mówiono nam o znalezieniu znaku rozpoznawczego Janka w Laskach pod Warszawą.

Szereg lat łudziliśmy się nadzieją, że żyje i przebywa gdzieś za morzami jak tyłu Polaków, lub na Wschodzie w niewoli. I Marylka żyła tą nadzieją. Dopiero po dziesięciu latach przeprowadziła sądowo stwierdzenie jego zgonu i wyszła ponownie za mąż.

Dzisiaj prawie pewni jesteśmy, że dostał się do Warszawy, po kapitulacji nie poszedł do niewoli, lecz ruszył przed siebie szukając przejścia na Zachód i dostał się w ręce „Wschodu”. Dawna piastunka naszych dzieci Jadzia Wesołówna zapewniła nas, że widziała nazwisko nasze wśród ofiar Katynia. Ja do dziś jeszcze nie straciłem nadziei, że go zobaczę¹⁸.

Była to natura bardzo uczuciowa, bujna. Normalnym więc poniekąd było zjawiskiem, że w pierwszej młodości szumiał, fermentował, dopuszczał się nawet pewnych wybryków.

Był dobrym człowiekiem. Z życzliwością odnosił się do ludzi, zawsze gotów był każdemu pomóc. Nazywaliśmy go przyjacielem całego świata. Przyjaźń go łączyła ze starszym bratem. Kochał młodsze rodzeństwo i dzieci serdecznie go lubiły.

Był szlachetnym człowiekiem: nie do pomyślenia było, by się mógł dopuścić niskiego występku.

Główną jego wadą czy raczej brakiem w dzieciństwie i w pierwszym okresie młodości było to, że na każde uczucie – a powstawały one nagle i przejawiały się one gwałtownie – reagował natychmiast działaniem. Między uczuciem a działaniem nie było transformatora: rozważ. Tym szkodził sobie nieraz. Ale w miarę dojrzewania ten brak powoli ustępował: rozsądek zaczął dochodzić do głosu. Świadomie chciał go wprowadzić w życie żeniąc się z Marylką.

Dzieci Stanisława Kasznicy i Eleonory Malewskiej:

Andrzej ur. 5 grudnia 1923 we Poznaniu. Kapłan – Zakonnik.

Wojciech ur. 29 czerwca 1925 w Poznaniu. Ożeniony z Martą Nakoneczną.

Dzieci ich: Jan ur. 22 listopada 1955 w Newark w USA.

Katarzyna ur. 17 lipca 1957 w Newark w USA.

Eleonora ur. 11 czerwca 1928 w Poznaniu.

Aneks

Zapiski genealogiczne prof. Stanisława Kasznicy

Pankowie – rodzina babki mojej ojczystej.

Szymon miał ośmioro dzieci: (o nim samym nie mam żadnych wiadomości)

1. **Józef** – ksiądz, proboszcz w Gielarowej koło Leżajska. Gorliwy kapłan, zacny człowiek. Wychował szereg chłopców, wykierował ich na ludzi. Ojciec mój często go odwiedzał.

2. **Stanisław** – zakonnik – dominikanin jakiś czas przeor w Jarosławiu.

3. **Ignacy** miał troje dzieci:

3/1. **Kazimierz** urzędnik starostwa. Wyemigrował do USA. Miał dziewięcioro dzieci, wszystkie osiadły w USA i dobrze się tam pokierowały. Jeden z nich był literatem.

3/2. **Aleksander** – ksiądz, proboszcz.

3/3. **Franciszka Andruszewska**.

4. **Andrzej** nauczyciel seminarium nauczycielskiego.

5. **Maria** zamężna za Felsenfestem Węgrem, leśnikiem w lasach państwowych.

6 i 7. **Teresa, Kunegunda** niezamężne. Prowadziły szwagrowi Kasznicy po jego owdowieniu gospodarstwo w Bronowicach.

8. **Agnieszka** zamężna za Wincentym Kasznicą moim dziadem. Bardzo piękna. Jej głównie zawdzięcza mój Ojciec swą głęboką religijność.

.....

Trębiccy – rodzina Matki mojej.

Herbu Ślepowron. Gniazdo ich rodzinne Płoszcza w ziemi Grodzieńskiej powiatu Prużańskiego.

Antoni Trębicki – mój pradziad macierzysty.

Adam Skałkowski profesor historii Uniwersytetu Poznańskiego, napisał o nim monografię p.t. *Antoni Trębicki*, w której podnosi zalety jego umysłowości i charakteru.

Posłował z Inflant na Sejm Czteroletni. Należał do partii reform, ale był przeciwnikiem Kołłątaja. Podpis jego widnieje na akcie oryginalnym Konstytucji 3-go Maja.

Poróżniwszy się z najbliższą rodziną, opuścił na zawsze Litwę, wziął od Rządu wielką dzierżawę pod Warszawą: Łomnę, Dziekanów, Kazuń i tu osiadł na

stałe. Był postępowym gospodarzem-rolnikiem, nawet nowatorem. W majątkach przeprowadzał różne eksperymenty: założył owczarnię zarodową, oborę krów holenderskich krzyżowaną z rasą polską, obsiewał pola ryżem, założył fabrykę wyrobów ze słomy ryżowej.

Po rozbiorach popadł w melancholię, odciął się od ludzi, przeważnie przebywał w pustelni, którą sobie postawił nad Wisłą.

Ożeniony był dwukrotnie: 1-o voto z Czerską, 2-o voto z Zofią Rykaczewską. Z pierwszego małżeństwa miał trzech synów: Stanisława, Kazimierza i Ludwika i dwie córki Pelagię i Anielę.

1. Stanisław, generał Wojsk Polskich. Miano mu powierzyć naczelne dowództwo po wybuchu rewolucji 1830 roku. Odmówił akcesu do niej: „Przysiągłem wierność memu Monarsze, przysięgi nie złamię”. (Mikołaj I cesarz Rosyjski koronował się w 1825 w Warszawie na króla Polskiego.). Zginął w drugim dniu Rewolucji zastrzelony jakoby przez odprawionego służącego.

2. Kazimierz generał Wojsk Polskich, także nie przystąpił do Rewolucji.

3. Ludwik ziemianin. Od niego wywodzą się Chojeccy i Wyleżyńscy, z którymi utrzymujemy bliskie rodzinne stosunki.

4. Pelagia zamężna Wyleżyńska.

5. Aniela zamężna Lachnicka. Syn ich Cyprian ziemianin, artysta malarz doradca Ermitażu cesarskiej galerii obrazów w Petersburgu.

Druga żona Antoniego Trębickiego Zofia Rykaczewska była niepospolitą kobietą: mądrą, rządzoną, zacną. A tak gospodarowała, że w roku 1854 kupiła od skarbu Państwa Łomnę i Dziekanów.

Dzieci Antoniego Trębickiego z drugiego małżeństwa: dwóch synów: Antoni, Aleksander i jedna córka Zofia.

6. **Antoni Trębicki** syn Antoniego – mój dziad macierzysty. Właściciel Dziekanowa. Zaprowadził wzorowe gospodarstwo płodozmienne. Po pożarze folwarku postawił solidne murowane budynki gospodarcze.

Po ojcu odziedziczył instynkty społeczne i działał publicznie w tych niezmiernie skromnych granicach, na jakie pozwalały warunki polityczne popowstaniowe. Był Radcą Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego – stanowisko wówczas zaszczytne wysuwające na czoło ziemiaństwa. Był sędzią gminnym z wyboru chłopów. Współpracował w instytucjach dobroczynnych warszawskich. Po wczesnym owdowieniu przeniósł się do Warszawy i dojeżdżał tylko do Dziekanowa dla prowadzenia gospodarstwa. Życie w Warszawie urządził sobie sybarytnie, wydawał dużo, za dużo, majątek zostawił obdłużony.

Żona jego **Paulina** z domu Rutkowska ze Spetala – moja babka macierzysta. Z pogromów wojennych ocalał jej portret – podniszczony bez ram, dobrego malarza Pędzińskiego. Znaleźliśmy go w 1945 w Ratuszu Poznańskim. Naturalnej niemal wielkości w pozycji siedzącej, na kolanach mała

ła dziewczynka, moja ciotka Zofia, – druga, moja Matka stoi przytulona do niej. Poważny, łagodny wyraz twarzy, na głowie „fanszonik”, wygląda na matronę, a miała wtedy chyba najwyżej 30 lat.

Antoniosstwo Trębiccy mieli troje dzieci: Izabellę, Zofię i Mariana.

Zofia zamężna za Józefem Kasznicą. Umarła po roku pożycia.

Izabela(moja Matka) wyszła za mąż za swego szwagra Kasznicę po jego owdowieniu.

Marian chory, umyślowo niedorozwinięty, niezonaty.

7. Aleksander, właściciel Łomny, rządny, oszczędny gospodarz, bez aspiracji społecznych. Ożeniony z Wandą Trębicką z Litwy, swoją przyrodnią siostrzenicą. Mieli pięcioro dzieci: Władysława, Jadwigę, Marię, Wandę i Zofię.

Władysław ożeniony z X. Puzynianką. Dwoje ich dzieci zmarło za młodu. Stracił majątek odziedziczony po ojcu.

Jadwiga Hłaskowa („Babcia Isia”). Bezdzienna.

Maria Drozdowska. Czwooro dzieci: Władysław, rolnik, b. pułkownik W.P. Józef, rolnik, właściciel Cynulic pod Modlinem zamordowany przez Niemców w II wojnie. Wanda Witwińska, Maria Czarnowska.

Wanda zamężna za Janem Komornickim, właścicielem Grabowa nad Pilicą. Jedyna ich córka Cecylia Dernałowicz.

8. Zofia zamężna za Ignacym Rutkowskim bratem swej szwagierki Pauliny Antoniowej Trębickiej.

Rutkowscy – rodzina babki mojej macierzystej.

Herbu Pobóg. Gniazdo ich rodzinne Spetal i Kamienna na Kujawach. Prapradziad mój (imienia nie znam) żonaty z Walicką miał trzech synów: Mariana, Jana i Szymona.

A) **Marian, pradziad mój**, był dwukrotnie żonaty.

Z pierwszej żony z domu Bromirskiej miał dwoje dzieci: Romana i Aniełę.

I. Roman żonaty z Łącką. Jedyna ich córka Romana zamężna za hr. Feliksem Mycielskim. Dzieci ich:

Stanisław, ożeniony z Dembińską, właściciel Borynicz w woj. łwowskim,

Edward, ożeniony z Ponińską, właściciel Wrześni w woj. Poznań.,

Władysław ożeniony z Zakliczanką, właściciel Łucznowic pod Krakowem. Syn ich Andrzej profesor prawa politycznego uniw. wrocławskiego.

Helena zamężna za ministrem Wacławem Zaleskim zginęła wraz z dzieckiem we Lwowie w czasie walk w 1918.

II. Aniela zamężna za hr. Wołowiczem. Bezdzienni.

Z drugiej żony z domu Nosarzewskiej Marian Rutkowski miał 2 synów, Ignacego i Mariana i 4 córki: Paulinę, Pelagię, Zofię i Marię.

III. Ignacy żonaty z Zofią Trębicką siostrą Antoniego Trębickiego.

Dzieci Ignacostwa Rutkowskich: syn Artur i córki: Zofia, Wanda, Maria.

1. Artur żonaty z Jeżewską.

2. Zofia Hutten-Czapska. Córka jej Zofia Karwatowa.

3. Wanda Ostroróg-Sadowska. Córka jej Wanda zamężna za Klingerem sędzią, miała 4 synów.

4. Maria Kossowska bezdzietna.

IV. Marian żonaty z Gliszczyńską. Mieli 4 córki: Korycińską, Piwnicką, Gliszczyńską i Ciechomską.

Ciechomscy mieli czterech synów: Jerzego, Wojciecha, Mariana, Stefana ożenionego z Łubkowską i 3 córki: Grobicką, Stecką i Wiszniewską.

Jerzy Ciechomski ożeniony z Mikulską miał 2 synów: Andrzeja i Jana. Obaj przebywają w Argentynie, pracują przy budowie kolei.

Andrzej żonaty z Argentyńką.

V. **Paulina** zamężna za Antonim Trębickim z Dziekanowa – moja babka.

VI. Pelagia zamężna za Fryderykiem Skarbkim, pierwszym polskim ekonomistą, pisarzem, ministrem za Księstwa Warszawskiego.

(Była drugą jego żoną. Z pierwszej (nazwiska nie znam) miał syna Józefa, którego nauczycielem domowym był Chopin, ojciec Fryderyka Chopina, który się urodził w Żelazowej Woli majątku Skarbków.

Józef Skarbek był żonaty z Marią Wodzyńską miłością Chopina i Słowackiego. Jej poświęcony poemat Słowackiego *W Szwajcarii*.

Dzieci Fryderykostwa Skarbków: Henryk i Zofia.

1. Henryk kurator Fundacji Skarbkowskiej we Lwowie. Ożeniony z Aleksandrą Okęcką. Dzieci ich: Fryderyk, Aleksander, Maria, Pelagia, Zofia.

a) Fryderyk po ojcu objął kuratorstwo Fundacji. Ożeniony ze Smorzewską. Syn ich Stanisław ostatni kurator do 1939.

b) Aleksander, wybitny obywatel, poseł do parlamentu wiedeńskiego a potem na Sejm Rzplitej. Ożeniony z Felicją Fredrową, z domu Szczepańska, wdową po Aleksandrze Fredrze-wnuku, który jej zapisał swój wielki majątek Rudki, Benkową Wisznię. Dochody obracali w dużej części na cele publiczne, zwłaszcza na domy akademickie. Bezdzietni.

c) Maria Colonna-Czosnowska. Dwaj synowie: Wacław i Stanisław.

d) Pelagia, niezamężna, śpiewaczka.

e) Zofia, zamężna za Zdzisławem Okęckim, dyplomatą. Bezdzietni.

2. Zofia, zamężna za Bronisławem Łuszczewskim, właścicielem Jeżówki w Sochaczewskim. Mieli 3 synów: Jana, Feliksa, Konrada i 2 córki: Teodozję i Konstancję.

a) Jan, administrator dóbr kuzyna swojego Sobańskiego, otrzymał od niego niewielki folwark Kozery pod Grodziskiem Mazowieckim. Ożeniony z Zofią Kolitowską, czworo ich dzieci:

a/1) Wanda Jełowicka. Dzieci ich: Krzysztof i Maria (zginęły w czasie powstania warszawskiego), Wanda i Stanisław.

a/2) Zofia za Kazimierzem Trębickim z Litwy, Służył w dyplomacji. Mieszkają w Londynie.

a/3) Janina Olszewska.

b) Feliks, przemysłowiec, bezdzietny.

c) Konrad, ożeniony z Dzieduszycką, córką Wojciecha, profesora Uniw. Lwowskiego, prezesa Koła Polskiego w Wiedniu. 3 córki.

d) Teodozja, szarytka.

e) Konstancja zam., Łubkowska. Dwaj synowie zamordowani przez Niemców. Córki: Zofia niezamężna i Jadwiga Ciechomska.

VII. Zofia zam. Prażmowska. Syn ich Marian, jeden ze znakomitych artystów dramatycznych, którymi słynęła scena warszawska w ostatniej ćwierci XIX wieku. Syn ich Aleksander, adwokat w Warszawie ożeniony z kuzynką swoją Domaszewską.

VIII. Maria zamężna za Rutkowskim właścicielem Jaguszewic pod Toruniem, który nie był jej żadnym krewnym.

B) **Jan** (brat mego pradziada Mariana) miał dwie córki: hr. Sierakowską i Potrykowską. Obie bezdzietne.

C) **Szymon** (drugi brat mego pradziada Mariana) ożeniony z Mierosławską. Mieli 2-ch synów: Józefa i Antoniego i 2 córki: Emilię i Teofilę.

I. Józef ożeniony z Brykczyńską. Mieli 2-ch synów: Zdzisława i Włodzimierza i córkę Lucynę.

1) Zdzisław, jeden z „Pięciu Poległych” na bruku warszawskim, których manifestacyjny pogrzeb zapoczątkował Powstanie Styczniowe 1863.

2) Włodzimierz, właściciel Kroczoza w Hżeckim, był 2-krotnie żonaty. Z pierwszej żony Wąsowiczówny (siostra jej zamężna za Komornickim z Grabowa – matka Jana żonatego z Wandą Trębicką z Łomny) miał dwoje dzieci: Józefa i Wandę.

a) Józef, inżynier, wieloletni dyrektor fabryki cementu w Wrzosowej k/Częstochowy, działacz społeczny, zdobył sobie ogromny mir wśród robotników. Ożeniony ze Stanisławą Żarską. Mieli 2-ch synów: Kazimierza i Włodzimierza i 2 córki: Marię zam. za Jerzym Cywińskim i Zofię zam. za Henrykiem Hłaską.

b) Wanda zamężna za Karczewskim, właścicielem Wielgiego w Hżeckim. Dzieci ich:

b/1) Zdzisław, żonaty z Marią Łuniewską. Dzieci ich: Jerzy i Maria („Dzidzia”).

b/2) Marian żonaty bezdzietny.

b/3) Zofia zam. za Konarskim.

b/4-6) Trzy córki niezamężne.

Z drugiej żony Marii Rutkowskiej (1-o voto Rakowskiej), córki Antoniego Rutkowskiego, a więc swej stryjecznej siostry, miał jednego syna Adama („wuj Adaś”) żonatego z Marią Czaplińską z Sycyny, a więc swoją siostrzenicą (1-o voto Pawłowską). Bezdzietni.

3) Lucyna zam. za Morżkowskim. Mieli 2-ch synów: Zygmunta i Kazimierza i 3 córki: Janinę, Zofię i Lucynę.

a) Zygmunt, dziennikarz, żonaty z Anielą Sulicką. Dwaj synowie umarli młodo. Trzy córki: Maria dietetyczka, Krystyna pielęgniarka, Wanda za Tyszką konsulem.

b) Kazimierz, oryginał, pędził życie chłopskie w Kroczowie.

c) Janina zam. za Wacławem Czaplińskim, właścicielem Sycyny i Wacławowa w Iłżeckim. Dzieci ich: Ludwik, Tadeusz, Maria, Bronisława, Wanda, Alina.

c/1) Ludwik po ojcu odziedziczył Sycynę. Z 1-ej żony Dobieckiej miał syna Bohdana („Danek”), dr weterynarii, naukowca-parazytologa i 2 córki: Annę Tomaszewską (po wojnie kilka lat więziona) i Izabellę 1-o voto Tyrawską, 2-o Z drugiej żony Rymarkiewiczówny syn Stanisław.

c/2) Tadeusz, odziedziczył po ojcu Wacławów. Ożeniony z Józefą Marcinowską z Janowic nad Wisłą. 6 dzieci. Szymon zginął w 1939, Wojciech zamordowany przez Niemców w Wacławowie, Kazimierz architekt, Bogna zam. za Jerzym Grabowskim zamordowanym przez Niemców w Wacławowie w 1942, Ruta (po wojnie 10 lat więziona), Maria zam. za Knabbem (8 dzieci).

c/3) Maria zam. 1-o voto za Pawłowskim, lekarzem. Z tego małżeństwa 2 córki: Urszula pielęgniarka i Halina, nauczycielka. 2-o voto za Adamem Rutkowskim z Kroczowa. („Ciocia Marynia”).

c/4) Bronisława zam. za Tadeuszem Kaluschayem, rolnikiem. Dwoje dzieci: Andrzej i Zofia.

c/5) Wanda Doroszkiewiczowa. Bezdzietni.

c/6) Alina, niezamężna, nauczycielka malarstwa.

d) Zofia zam. za Ludwikiem Krzymuskim. Dwóch synów:

d/1) Ludwik żonaty z Heleną Ciszewską. Dwie córki: Krystyna psycholog i Joanna artysta plastyk.

d/2) Marcin, ekonomista. Żonaty z Kraczkiewiczówną. Bezdzietni.

e) Lucyna zam. za Rzeszotarskim. Syn ich Bohdan przebywa w Niemczech.

II. Antoni, syn Szymona, ożeniony z Dzianottówną. Mieli dwie córki:

1) Marię, zamężną 1-o voto za Rakowskim, właścicielem Naęczowa, 2-o voto za Włodzimierzem Rutkowskim, synem Józefa, swym stryjczym bratem.

2) Wandę, zamężną za Słanką. Córka ich Helena Słanczanka, zamężna za Stanisławem Bukowieckim, prezesem Prokuraturii Generalnej i Komisji Kodyfikacyjnej w okresie międzywojennym.

III. Emilia, córka Szymona, zamężna za Józefem Prądyńskim, szefem sztabu w czasie wojny polsko-rosyjskiej 1830–31, uznanego przez historyków za najzdolniejszego z ówczesnych polskich generałów. Mieli 2 córki: Sylwię niezamężną i Helenę zamężną za HERNICZKĄ. Dwaj synowie HERNICZKÓW: Kazimierz i Jan.

IV. Teofila („Zaneta”) zamężna za Domaszewskim. Mieli dwoje dzieci:

1) Natalia zamężna za Bacciarellim.

2) Jan żonaty z Karszówną.

.....

Bolesta Malewscy herbu Jastrzębiec, rodzina ojca mojej żony, wywodzi się z ziemi płockiej. Gniazdo ich rodzinne Wielki Miączyn.

Gabriel Malewski, dziad mojej żony, żonaty z Leokadią Korwin Wyszowska. (Stryjem jego był Franciszek Malewski, rektor Uniwersytetu Wileńskiego, którego syn Franciszek był przyjacielem Adama Mickiewicza). Dzieci Gabrielostwa Malewskich:

Amelia zamężna za Gabrielem Wierzbickim, sędzią na Kaukazi. Dzieci ich: Gustaw i Maria.

Leonia zamężna za Hlebowicz-Hryniewskim, inżynierem. Mieli dwóch synów. Władysław zmarł bezdzietnie.

Gustaw (1838–1911) żonaty z Eleonorą Daszewską. Rodzice mojej żony. Wyemigrował za młodu na Kaukaz i doszedł tam do wybitnego stanowiska w administracji. Dom ich był ostoją moralną, a nieraz materialną dla licznych Polaków przebywających na Kaukazie czy to w wojsku, czy na zesłaniu, czy też w poszukiwaniu chleba i promieniował na nich polskością przede wszystkim dzięki jej gorącemu sercu i miłości Ojczyzny. Po przejściu jego na emeryturę powrócili do Polski, zamieszkali w Naęczowie, gdzie zakupili willę „Marię”. Tu przy współdziałaniu synów założył Spółdzielczy Bank Ludowy, którym kierował do końca swego życia. Dzieci Gustawostwa Malewskich: 3 synów: Bronisław, Gustaw, Stanisław, 5 córek: Amelia, Zofia, Maria, Jadwiga, Eleonora.

I. Bronisław (1874–1920) ukończył wydział przyrodniczy w uniwersytecie petersburskim a następnie wydział lekarski na Uniwersytecie Warszawskim. Jako student pracował w tajnych organizacjach Bratniej Pomocy i Oświaty Narodowej. Po ukończeniu szkoły został lekarzem w zakładzie leczniczym w Naęczowie. Tu rozwinął niezmiernie szeroką działalność

społeczną. Dzięki jego inicjatywie i bezpośredniemu działaniu powstał w Nałęczowie szereg ważnych instytucji, jak: dom ludowy, sklep spółdzielczy, szkoły koszykarska i zabawkarska, Muzeum Etnograficzne ziemi lubelskiej, ochotnicza straż ogniowa, szkoła Macierzy Polskiej, teatr ludowy amatorski, łaźnia im. Prusa. Za przykładem Nałęczowa powstawały i w innych miejscowościach podobne instytucje. Działalnością tą zdobył sobie ogromny mir wśród ludności chłopskiej w lubelskim i po rewolucji 1905 został wybrany na posła do Dumy petersburskiej. Po kilku latach został dyrektorem zakładu dla nerwowo chorych w Grodzisku Mazowieckim. W czasie I wojny po zajęciu przez Niemców Królestwa udał się do Rosji, tam brał udział w opiece nad uchodźcami polskimi, a po utworzeniu Korpusu Dowbora Muśnickiego został jego naczelnym lekarzem. Po klęsce Niemców w 1918 powrócił do kraju i został pierwszym Szefem Sanitarnym tworzącej się Armii Polskiej w szarży generała. W 1919 wybrany na posła do Sejmu Ustawodawczego przewodniczył Komisji Wojskowej. Równocześnie dalej prowadzi zakład w Grodzisku. W 1920 zginął wskutek wypadku samochodowego na ulicy Warszawy. Pogrzeb jego był wielką manifestacją. Wieziony był na lawecie armatniej na cmentarz powązkowski. Między innymi składał mu najgorętszy hołd pośmiertny przeciwnik jego polityczny, członek Polskiej Partii Socjalistycznej Anusz poseł Warszawy. Ożeniony z Jadwigą Ciświcką, córką adwokata w Lublinie i ziemianina. Dzieci ich:

1. Andrzej – naukowiec, chemik. Mieszka w Londynie.
2. Hanna – wybitna powieściopisarka i publicystka. Mieszka w Krakowie.

II. Gustaw (1875–1936). Ukończył Wyższą szkołę handlową w Hamburgu. Współpracował z ojcem w Banku Ludowym w Nałęczowie a po jego śmierci został dyrektorem tego banku. W okresie niepodległości zajmuje stanowisko dyrektora oddziału Banku Polskiego w Tczewie. Przeniesiony do Centrali w Warszawie tam umiera.

Człowiek wielkiej szlachetności i dobroci.

Ożeniony z Anielą Szanior, córką przemysłowca warszawskiego.

Jedyna ich córka Maria („Marysia”) zamężna za Jerzym Korytkowskim adwokatem. Mieszkają w Warszawie. Bezdzietni.

III. Stanisław (1883–1920). Ukończył politechnikę warszawską a następnie doktoryzował się w Akwizgranie, poczym praktykował w kopalniach węgla niemieckich jako górnik. Po powrocie do kraju pracował w Dąbrowie Górniczej, wkrótce zaś udał się do Rosji i w Zagłębiu Donieckim dorobił się majątku i własnej kopalni. Po wybuchu rewolucji bolszewickiej wędrując do kraju po drodze na Kaukazie zmarł na tyfus plamisty. – Nieżonaty.

Człowiek dużych zdolności, siły woli, energii, pracowitości, odwagi i wielkiej dobroci. Bardzo przywiązany do rodziny, w szczególności do siostry Eleonory.

IV. Amelia (1877–1921) zameżna za Stanisławem Kasznicą.

Dzieci ich: Stanisław i Jan.

V. Zofia ur. 1879. Zameżna za Stanisławem Lisowskim, półkownikiem W.P. Dzieci ich: trzech synów: Witold, Zbigniew, Bronisław i córka Alina.

1. Witold, zawodowy wojskowy ukończył Szkołę Sztabu Generalnego w Warszawie. Po klęsce 1939 wyemigrował do Francji. Mieszka w Paryżu. Ożeniony z Janiną Lipską. Jedyna córka Danuta

2. Zbigniew, inżynier, profesor Politechniki Warszawskiej. Ożeniony z Zofią Polkowską, architektem. Dzieci ich: Bohdan, stud. Politechniki, Krystyna, historyk sztuki, zam. Zakrzewska.

3. Bronisław, ukończył Akademię Handlową, radca w Min. Handlu Zagran. Ożeniony z Anną Nadolską. Wdowiec. Dwie córki: Barbara i Anna.

4. Alina wdowa po Tadeuszu Szymańskim, prawniku, asystencie Uniw. Warsz., który zginął w Powstaniu Warszawskim. Córka Anna absolwentka Historii Sztuki, pracuje w radiu. Syn Janusz – student Politechn.

VI. Maria Jeleniew, wdowa po kapitanie wojsk carskich. Dzieci ich: Jerzy i Irena.

1. Jerzy zawodowy wojskowy – kapitan. Aresztowany przez NKWD w 1940 wywieziony w głąb Związku Radzieckiego – zginął.

2. Irena, nauczycielka, zam. za Grochowskim, który zginął w 1939. Córka ich Irena.

VII. Jadwiga ur. 1893, zam. za Ludwikiem Osieckim, naczelnikiem wydz. samorząd. w wojew. lubelskim, a następnie krakowskim. Podczas okupacji był przedstawicielem Delegatury Rządu na okr. krakowski. Obecnie na emeryturze. Mieszkają w Krakowie. Dzieci ich:

1. Stanisław, prawnik, pracuje w przemyśle naftowym.

2. Jadwiga, mgr prawa, zam. Karczewska.

3. Henryk, bliźniaczy brat Jadwigi, mgr prawa. Aresztowany przez NKWD w 1944, więziony w łagrach koło Riazania. Po 2 latach wrócił ciężko chory, zmarł w 1953 r.

VIII. Eleonora (ur. 1895) zam. za Stanisławem Kasznicą po jego owdowieniu z Amelią.

.....
Daszewscy, herbu Mścigniew, rodzina matki mojej żony.

Franciszek Daszewski, pułkownik napoleoński, kawaler Legii Honorowej, za czasów Księstwa Warszawskiego komendant m. Warszawy.

Ożeniony z Eleonorą Klimontowicz. Dzieci ich: 3 synów: Aleksander, Marcei, Michał i 2 córki: Karwowska i hr. Załuska.

A) **Aleksander I** syn Franciszka, ziemianin właśc. Pniew k./Grójca, radca Tow. Kredyt. Ziemskiego, ożeniony z Bronisławą Ryx. (Brat jej ożeniony z Schilling miał syna Mariana, biskupa sandomierskiego).

Dzieci Aleksandra I: Aleksander, Zdzisław, Włodzimierz, Bronisława, Kazimiera, Aleksandra, Eleonora.

I). Aleksander II, syn Aleksandra I, ziemianin, radca Tow. Kred. Ziem., ożeniony z Marią Kicińską. Dzieci ich:

1. Aleksander III ożeniony z Brandtówną, córką znakomitego malarza Józefa Brandta. Dzieci ich: Andrzej, właściciel Orońska, ożeniony z Zofią Popławską z Promnika, swoją cioteczną siostrą i Marią Arkuszewska.

2. Maria zam. za Adamem Popławskim właścicielem Promnika k/Kielc. Dzieci ich: Stanisław żonaty z, Maria Dzierzbicka, Anna zam. za Jerzym Daszewskim swym wujem, Zofia zam. za Andrzejem Daszewskim swym ciotecznym bratem.

II). Zdzisław, syn Aleksandra I, ziemianin ożeniony ze Stefanią Pszczółkowską. Dzieci ich:

1. Brunon, właściciel Załuża k/Rohatyna, zamordowany w 1939 na progu swego dworu. Ożeniony z Władysławą Leszczyńską. Dzieci ich:

a) Andrzej zginął w Powstaniu Warszawskim.

b) Henryk, rolnik, asystent U.J.

c) Jan (mój syn chrzestny) zamordowany w II wojnie.

2. Stefan

3. Stanisław

4. Janina, zam. za Brzeskim. Syn ich, Janusz znany malarz.

III). Włodzimierz, syn Aleksandra I, ziemianin. Żonaty dwukrotnie.

Z pierwszej żony Popławskiej, siostry Adama Popławskiego z Promnika, miał trzy córki: Jadwigę, Zofię i Lucynę.

1. Jadwiga, zam. za Kazimierzem Prądyńskim, dyrektorem stadniny w Gnieźnie, a następnie w Łącku.

(Brat jego, ksiądz Józef Prądyński, duszpasterz akademicki Uniwersytetu Poznańskiego, potem kanonik katedralny, naczelny zarządca Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu z ramienia Arcybiskupa Poznańskiego, jako właściciela tej Księgarni, wybitny kapłan i działacz, zamordowany przez Niemców w 1940 w VII forcie w Poznaniu).

Dzieci Prądyńskich:

a) Ignacy, pracował w centralnym zarządzie stadnin państwowych, zginął w wojnie w 1939. Ożeniony z Marią Grodzicką. Jedyne dziecko Andrzej, student politechniki.

b) Andrzej, dyrektor stadniny w Pępowie k/Leszna. Ożeniony z Zofią Hinzówną (Matka jej – siostra prof. Antoniego Jurasza). Dzieci ich: Jan, Ignacy, Maria i bliźnięta: Krzysztof i Krystyna.

c) Zofia („Zonia”), niezamężna, pracuje w Poznań. Tow. Naukowym.

d) Danuta Skórkowska.

e) Maria Małachowska.

f) Róża Krzycka.

2. Zofia zam. za Stefanem Łusakowskim, nadleśniczym w Jedlni k./Radomia. Dzieci ich:

a) Maria¹⁹ („Niutka”) jako łączniczka Komendy Głównej A.K. wysyłana była ze specjalnymi zleceniami na cały kraj, a szczególnie do Lwowa. Dziewczyna niezwykłego męstwa, determinacji, zimnej krwi. Zginęła w czasie Powstania Warszawskiego.

b) Henryk, nauczyciel szkoły rolniczej.

c) Jerzy, prawnik, adwokat.

3. Lucyna zam. za Kiedrzyńskim. Mieli dwóch synów i córkę.

Z drugiej żony Radziejowskiej Włodzimierz miał dwóch synów: Włodzimierza i Jerzego, żonatego z Anną Popławską swoją siostrzenicą.

IV. Bronisława zam. za Konstantym Trąbczyńskim. Jedyna ich córka Antonina, zam. za Adolfem Garszyńskim, właśc. Maszowa w lubelskim. Bezdzietni.

V. Kazimiera zam. za Ksawerym Wasilkowskim, ziemianinem. Dwie córki Emilia i Jadwiga niezamężne.

VI. Aleksandra zam. za Stanisławem Rudzkim. Dwaj synowie: Gustaw i Stanisław.

VII. **Eleonora** zam. za **Gustawem Malewskim**. Rodzice mojej żony.

B) Marcei, syn Franciszka, właśc. Zalesia. Ożeniony z Mieli syna Baltazara nieżonatego i córkę Emilię zam. za Domańskim, właśc. Gnietówki w Grójeckim.

C) Michał, syn Franciszka, właśc. Brzumina i Siedzowa na Podlasiu. Ożeniony z Dwaj ich synowie:

I. Michał ożeniony z Dzieci ich:

1. Michał, inżynier w Łodzi.

2. Jan, właśc. Brzumina, ożeniony z Weigtówną.

3. Tadeusz, właśc. Nowej Wsi k./Warszawy.

II. Antoni, właśc. Siedzowa, ożeniony z Jaźwińską. Mieli 8 dzieci

1. Waław, 2. Antoni, 3. Michał – nieżonaci.

4. Józef, żonaty z Sulimierską. Mieli 5 synów, z których dwu zginęło: jeden w obozie konc., drugi w Powstaniu Warszawskim.

5. Adam żonaty z Lossowówną. Mieszkają w Londynie.

6. Janina, zam. za Stefańskim, profesorem parazytologii w Uniwersytecie Warszawskim. Bezdzietni.

7. Wanda, chemiczka, niezamężna.

8. Maria.

D)Karwowska, córka Franciszka. Córka ich Eleonora Chełmicka.

E)Załuska. Jedna z jej córek, Maria należała do Zgromadzenia Panien Kanoniczek w Warszawie przy placu Teatralnym obok Ratusza. Po śmierci Amelci dwukrotnie przebywała u mnie w Poznaniu czas dłuższy i prowadziła mi dom. Jest matką chrzestną naszego Andrzeja.

PRZYPISY

- ¹ Eleonora – córka, ur. w 1928 r. w Poznaniu.
Po wojnie zdała maturę, ukończyła SGGW w Warszawie. Była asystentką w Wyższej Szkole Rolniczej w Krakowie, a następnie w Instytucie Zootechniki.
Uczestniczyła w Powstaniu Warszawskim jako PŻ AK w III Zgrupowaniu Konrad.
- ² Stanisław – syn autora.
- ³ zmarł 17 listopada 1958 roku w Krosinku k/Mosiny.
- ⁴ „Zet” – założony został na tajnym zebraniu w Krakowie w 1887 r. w gronie dziewięciu przedstawicieli młodzieży z różnych stron Polski. Był on wśród młodzieży wyrazem rodzącego się wówczas narodowego ruchu wszechpolskiego, którego również tajną władzą kierowniczą stała się Liga Narodowa, pod przewodnictwem Jan Popławskiego i Romana Dmowskiego. Zebraniu krakowskiemu przewodniczył Zygmunt Balicki.
Zadaniem Zet’u było wychowanie polityczne młodzieży w duchu Narodowej Demokracji, kształtowanie nie tylko umysłów ale i charakterów. Organizacja ta podzielona była na grupy „koleżeńskie” półjawne, przede wszystkim w środowiskach studenckich. Jednostki najwartyściowsze wchodziły do grup „braterskich” tajnych.
- ⁵ Dokument o którym mowa został złożony w Archiwum PAN w Warszawie pod numerem zbioru 2111.
- ⁶ Jurasz Antoni – ur. w 1882 r. w Heidelbergu, zmarł w 1961 r. w USA. Profesor dr kierownik chirurgii na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Poznańskiego do 1939 r. Podczas II wojny był dziekanem na prawach rektora Wydziału Medycznego Polskiego Oddziału na Uniwersytecie w Edynburgu (Szkocja).
Był pełnomocnikiem Rządu Londyńskiego do zorganizowania szpitala im. I. Paderewskiego dla Polski powojennej. Szpital ten został przywieziony do Polski w 1946 r. przez AJ.
A. Jurasz musiał opuścić Polskę i wyjechał do USA. Tam niemal do końca życia prowadził praktykę lekarską.
Prochy jego zostały sprowadzone do Polski w 1977 r., został pochowany w Poznaniu.
- ⁷ Eleonora – żona, ur. w 1895 r. w Kutaisie (Kaukaz), zmarła w 1981 r. w Warszawie. Z domu Małewska, wdowa po majorze Legionów Juliuszu Meraku, poległym w 1920 r.
- ⁸ Wojciech – syn, ur. w 1925 r. w Poznaniu, mieszka w USA.
Podczas okupacji niemieckiej zdał małą maturę w Warszawie (w zakonspirowanej szkole). Był podchorążym Armii Krajowej w I Pułku Strzelców Konnych. W Batalionie im. Łukasieńskiego brał udział w Powstaniu Warszawskim, ranny, wywieziony do Stalagu Zeithen w Saksonii. Po klęsce Niemców przedostał się do polskich wojsk na Zachodzie. Po demobilizacji ukończył studia ekonomiczne w Grenoble. Ożeniony w 1949 r. wyemigrował z żoną do USA w 1952 r. Tam ukończył kursy inżynieryjne. Pracował w Wytwórni aparatury do uzyskiwania niskich temperatur, jako Inżynier Projektów, kierownik Wydziału Inżynierii. W późniejszych latach pracował przy budowie wielkich Zespołów Przemysłowych jako konsultant. Ma dwoje dzieci.
- ⁹ Andrzej – syn, ur. w 1923 r. w Poznaniu, zmarł w 1993 r. w Warszawie.
Zdał maturę na tajnych kompletach w Warszawie w 1942 r. poczym rozpoczął studia prawnicze na tajnym Uniwersytecie Warszawskim, gdzie ukończył dwa lata.
Podchorąży pułku „Baszta” Armii Krajowej. Brał udział w Powstaniu Warszawskim. Ciężko ranny, odznaczony Krzyżem Walecznych z mieczami.
Po wojnie ukończył prawo na Uniwersytecie Poznańskim. W 1946 r. wstąpił do Zakonu OO Dominikanów, gdzie otrzymał imię zakonne Krzysztof. Był kaznodzieją, duszpasterzem różnych środowisk. W latach 1961–1966 i 1969–1985 był wykładowcą prawa kanonicznego, teologii moralnej i apologetyki na Studium OO Dominikanów w Krakowie. W latach 1966–1969 był Prowincjałem Zakonu Dominikanów.

¹⁰ Wanda Brykczyńska – z domu Wolska, inżynier rolnik, ur. w 1893 r. w Gzichowie, zmarła w 1974 r. w Warszawie.

Ukończyła Kursy Przemysłowo-rolnicze Pomorskiego w Warszawie (późniejsze SGGW) w 1914 r., a stopień inżyniera dyplomowanego SGGW uzyskała w 1926 r.

Po śmierci męża również inżyniera rolnictwa, objęła kierownictwo hodowli buraka cukrowego w firmie Motycz w Motyczu w latach 1923 do 1930.

W latach 1930 do 1933 była kierownikiem hodowli buraka cukrowego w Więctawicach w f-mie K. Buszczyński i S-wie.

Od 1933 r. do wybuchu wojny była referentem doświadczalnictwa rolniczego w Ministerstwie Rolnictwa i zorganizowała Komisję Współpracy w Doświadczalnictwie.

W czasie okupacji pracowała w Warszawskiej Izbie Rolniczej.

W latach 1945 do 1949 organizowała hodowlę roślin w Państwowych Zakładach Hodowli Roślin. Od 1950 r. do 1957 r. była naczelnikiem Wydziału Doświadczalnictwa i Nasiennictwa w Ministerstwie Rolnictwa i organizatorem Centralnej Stacji Oceny Odmian w Słupi Wielkie. W 1957 r. przeszła na emeryturę.

Jest autorką kilkudziesięciu prac z dziedziny Hodowli Roślin, uprawy buraka cukrowego i doświadczalnictwa, oraz kilku podręczników z powyższych dziedzin.

Odnaczona została Krzyżem Polonia Restituta.

Była członkiem Trzeciego Zakonu św. Franciszka i Sodalicii.

Miała czworo dzieci.

¹¹ Stanisław – syn, ostatni dowódca NSZ, szedł ze swymi podkomendnymi do Poznania i na ziemię zachodnie.

¹² willa Kaszniców w Krosinku k/Mosiny, 21 km od Poznania.

¹³ I.Z. – Instytut Zachodni powołany do życia przez Prof. Z. Wojciechowskiego.

¹⁴ Z.Z. – Ziemie Zachodnie

¹⁵ Kierownictwo w Służbie Cywilnej Narodu.

¹⁶ w procesie tym oskarżeni byli również: Mieczysław Paszkiewicz, Stefania Żelazowska-Sokołowska, Wanda Salska i Jastrzębski.

¹⁷ Wyrok został wykonany 12 maja 1948 r. w więzieniu mokotowskim przy ul. Rakowieckiej, miejsce pochówku nieznane. Protokół stracenia w aktach sprawy Sr 68/48.

¹⁸ Jan – syn zginął 19 września 1939 r. w Laskach k/Warszawy, pochowany tam na cmentarzu wojskowym po ekshumacji w 1962 r. Pośmiertnie odznaczony Krzyżem *Virtuti Militari* V kl.

¹⁹ Wymieniona jest w książce *Żołnierze Komendy głównej AK wspominają*, 1994, s. 248

The Autobiography of Professor Stanisław Kasznica 1874–1958

SUMMARY

The autobiography, encompassing sixty typewritten pages, was written from 1948 to 1957 on the basis of recorded diaries and memoirs. The author also utilized his scientific publications, professional experience, and letters. The documents included some of the diaries, which miraculously survived the ravages of war. A year before Stanisław Kasznica's death his autobiography was completed and bound. This work, including all the references, was in the possession of Eleonora Kasznica, Stanisław Kasznica's daughter. Currently the documents are in the archives of the Polish Academy of Sciences. The recorded facts from the author's life from 1893 to 1957 span the crucial years of the turn of the century. The author played an active role in social, political, and academic life. He was also very active in the Polish national independence movement.

Stanislaw Kasznica studied law in the University of Warsaw from 1895 to 1901, interrupted by his arrest and imprisonment by Russian Imperial authorities. He received his Doctorate from the Jagiellonian University in Krakow in 1904 and also studied in Heidelberg under G. Jellinek. He worked in the Governor-Generalship in Lwów and was representative to the Parliament of Galicia in 1913; there Stanislaw Kasznica worked on the problems of national and ethnic minorities within the Polish national statute. This theme continues to be interwoven in many of S. K.'s future initiatives.

In 1912 S.K. was appointed full professor of social science in the Academy of Agriculture in Dublany near Lwów, where, during the Great War he fought in defence of that Academy.

In 1918 the author participated in the political life of the rising Republic of Poland in the Polish Parliamentary Circle in Krakow, and in the International Congress of Oppressed Nations in Prague.

After Polish national independence was proclaimed, S.K. headed the administrative department of the Ministry of Domestic Affairs. During his tenure at that post, legislative projects outlining the function of government were prepared.

In 1920 S.K. organised the Chair of Administrative Law at the University of Poznan, and headed this Chair from its very foundation until 1947.

S.K. was Rector of the University of Poznan from 1929-1931. Under German occupation during the Second World War he took an active part in underground education.

In 1922 S.K. was elected Senator from the nominating list of the Christian National Party. During his years in the Senate (1922-1927) he actively participated in many legislative projects concerning administrative reforms which are described in his memoirs.

The *Autobiography* also contains S.K.'s presentation of his three basic works concerning administrative law, sociology of power and religious reflection. This work also gives a brief genealogy of the families of the author and his wife Eleonor.

translated by John M. Kasznica MD